TYGODNIK KOBIETY

CENA
50 GR.

Nr. 22
7 czerwca
1936 r.



KAPELUSZ Z GRANATOWEGO FILCU Z WOALKĄ UŁOŻONĄ FANTAZYJNIE. DUŻY KOŁNIERZ Z BIAŁEM OBRAMOWANIEM.







KAPELUSZ Z GRUBEJ, JASNEJ SŁOMY OPASANY AKSAMITKĄ KOLOROWĄ.

CLAUDETTE COLBERT W DUŻYM KAPELUSZU Z BIAŁEJ SŁOMY PRZYBRANYM AKSAMITKĄ I DUŻYM PĘKIEM KWIATÓW. PHOTO PARAMOUNT.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 22. **7 CZERWCA 1936 R.**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NATOLIŃSKA 9 m. 13 — TELEFON 5-07-03

Zawiadamiamy o zmianie adresu! Redakcja i Administracja „Tygodnika Kobiety" zostały przeniesione na ul. Natolińską 9 m. 13. Nowy numer telefonu podamy w następnym zeszycie.

Dziesięcioletni Jubileusz Pana Prezydenta Rzeczypospolitej



W DNIU 3-IM CZERWCA PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ, PROFESOR IGNACY MOŚCICKI, OBCHODZIŁ JUBILEUSZ DZIESIĘCIOLECIA, W CZASIE KTÓREGO ZDOBYŁ SOBIE MIŁOŚĆ I SZACUNEK NARODU.

W DNIU JUBILEUSZU PANA PREZYDENTA WSZYSTKIE POLKI ZJEDNOCZYŁO GORĄCE PRAGNIENIE ZACHOWANIA JAK NAJDŁUŻEJ JEGO WIELKIEGO SERCA I ROZUMU DLA DOBRA KRAJU.

Z JASNEJ GÓRY

W dniu 24-tym maja poraz trzeci w dziejach polskich na zewnętrznych murach klasztoru O.O. Paulinów zawisł obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na tych murach, które w XVII wieku złamały oręż szwedzki, uratowały Polskę od klęski ostatecznej i zalewu wrogów.

Poraz trzeci w dziejach Królowa Polski ze swej kaplicy tronowej zstąpiła na mury do ludu swego zeszła.

Na tle bezchmurnego, ciemnego błękitu, przepięknie rzeźbiony, szary, jednolity w kolorycie rysunek kościoła i klasztoru, ponad wysoko wzniesionemi wałami obronnemi, jakby różem pastelowym podmalowanemi; na wałach ołtarz z białych orłów i barw narodowych i zieleni zbudowany, a na nim ze skrzących blasków i srebra, i złota cudowny obraz Najświętszej Marji Częstochowskiej; wokół filary i biel duchowieństwa, wszystko zalane żywiołowemi, białemi strugami słonecznego światła. Na dole, nisko, u stóp wałów, barwny pas sztandarów, setek sztandarów, dumnie wzniesionych, łopocących w słońcu tęczą kolorową, to znów chylących się w kornym pokłonie, za niemi morze serc rozmodlonych, morze głów wpatrzonych w uwielbieniu i ekstazie w Polski Królowę.

Oto sylwetka z Jasnej Góry — oto w realny, wielki czyn skrystalizowany kult dla Matki Bożej, kult co od wieków przepełnia każde polskie serce.

I dlatego na zew ślubowania miłości i wierności Naświętszej Pannie Częstochowskiej, stawiły się tysiączne rzesze młodzieży akademickiej, różnych przekonań i różnych obozów, nawet różnych wyznań, idąc za głosem serca własnego, które kazało się jawić na apel.

Słusznie też ksiądz przeor O.O. Paulinów podkreślił w przemówieniu swem doniosłość momentu ślubowania młodzieży akademickiej, przyrównując je i zstawiając ze ślubami Jana Kazimierza, z przysięgą Kościuszki, z Konstytucją 3-go maja, bo moc wielka w niem tkwiła i potęga żywiołowa, i mistyczna wiara, i przeogromne szczęście się zawierało, bo właśnie naszemu pokoleniu danem było przeżyć młodzieńcze, gorące ślubowanie, i przeciwstawić je falom haseł wywrotowych, chwiejności zasad moralnych.

Dźwięczny, klasztorny zegar wieżowy w czasie ślubowania wydzwonił dziejową godzinę;

bo oto w chaosie prądów różnorodnych, w wirze i zgiełku wydarzeń, na mglistem rozdrożu kierunków w nieznane wiodących, Młoda Polska ślubowała budować przyszłość Ojczyźnie, tworzyć dziejowe Jutro — pod sztandarem Bogu-Rodzicy.

Marja Iza Gadomska

Nowoczesna szkoła gospodarcza

Ujrzałam pierwszy raz w życiu Łódź — przyznaję ze wstydem — dopiero w 1928 roku — z okienka samolotu, kiedy istniała między Warszawą i Łodzią komunikacja Poslkiej Linji Lotniczej „Aerolot" i trasa ta była najtańszym odcinkiem tego nowoczesnego środka lokomocji.

Poznanie więc Łodzi było z mej strony, że tak się wyrażę „okazyjne" i zdaje mi się, że nie będę daleką od prawdy, twierdząc, że tak właśnie „okazyjnie" poznaje nasze wielkie przemysłowe miasto większość Polaków. Łódź, blisko Warszawy położona jest o wiele mniej znana jej mieszkańcom, niż inne miasta. Jest to wielką niesprawiedliwością w stosunku do Łodzi.

Że sama czuję się bardzo winną, pragnęłabym, chociaż zrehabilitować się w ten sposób, aby zachęcić Czytelniczki „Tygodnika Kobiety" do poznania tego wartkiego nurtu pracy, jaki w Łodzi bije.

Nie mówię w tej chwili o przemyśle... O tych miljonach wrzecion... Nie mówię o żadnym bussinesie... Idzie mi o pracę na innych zgoła polach. Szkolnictwo... Opieka Społeczna... Przedszkola... Sąd dla Nieletnich i opieka nad małoletnimi przestępcami... I wiele, wiele różnych ciekawych doświadczeń i poczynań, z których łodzianie mogą być naprawdę dumni, bo we wszystkich jest coś specyficznego. Coś, czego się gdzieindziej nie spotyka, albo czemu Łódź właśnie dała początek.

Weźmy więc, jako pierwszy przykład placówkę, która musi zainteresować każdą kobietę, jeśli nie jako fachowczynię, to jako strażniczkę domowego ogniska — szkołę Przemysłowo-Gospodarczą, prowadzoną przez Stowarzyszenie Służba Obywatelska.

Szkoła ta powstała z inicjatywy byłej naczelniczki Wydziału Żeńskich Szkół zawodowych M-stwa W. R. i O. P. p. Marji Zaborowskiej i p. Heleny Witkowskiej, do dzisiejszego dnia czynnych bardzo członkiń wyżej wymienionego Stowarzyszenia.

Wzorem tej nawskroś nowoczesnej w Polsce uczelni były belgijskie szkoły pracy społecznej i duńskie szkoły gospodarstwa domowego.

Stowarzyszenie Służba Obywatelska wybrało Łódź, miasto o wielkiem nasileniu ludności proletarjackiej, aby szkoła ta rozpoczęła działalność pionierską i przyczyniła się do podniesienia poziomu życia robotniczego z jednej strony, a z drugiej — dała możność szeregom dziewcząt przygotowania fachowego w dziedzinie tak bardzo u nas niedocenianej — jakiem jest gospodarstwo w szpitalach, sanatorjach, internatach, kolonjach, jadłodajniach, herbaciarniach, pensjonatach i t. p. ośrodkach społecznych.

Szkoła założona w 1928 r. powoli zaczęła się rozwijać.

W 1933 r. przeniosła się do nowego, zbudowanego z subsydjum M-twa W. R. i O. P. pięknego gmachu, położonego w dzielnicy robotniczej przy ul. Wodnej 40. — Pierwsze wrażenie po wejściu do środka — to wzorowa czystość i dbałość wielka o estetykę na każdym kroku. Piękny dobór barw na klatce schodowej i sali jadalnej — Kwiaty... Barwne reprodukcje obrazów najlepszych mistrzów dawnych i współczesnych. Klasy pełne światła i nowocześnie umeblowane. Sale zajęć urządzone według najlepszych wzorów zagarnicznych szkół tego typu, wyposażone we wszystkie nowoczesne przyrządy i naczynia.

Kuchnie elektryczne i gazowe, choć nie brak oczywiście do nauki i węglowych, bojlery. Wzorowo prowadzona śpiżarnia i jadłodajnia, w których uczennice odbywają praktykę.

Bibljoteka, licząca przeszło tysiąc dzieł i czytelnia z 14-ma czasopismami. Ogródek pełen krzewów i kwiatów, boisko...

Na korytarzu odczytujemy słowa Heleny Radlińskiej:

„Praca społeczna polega na przetwarzaniu środowiska siłami człowieka w imię ideału".

Tak, tu widać dążenie do ideału przy stwarzaniu uczenicom odpowiedniego środowiska i otoczenia w szko-

le, aby gdy pójdą w świat starały się podobne wokół siebie wytworzyć.

Praca szkoły jest b. różnorodna i idzie w kilku kierunkach. Przedewszystkiem prowadzenie dwuletniej szkoły gospodarczo społecznej — pierwszego liceum w Polsce tego typu.. Kandydatki do niej przyjmuje się po 6 klasach gimnazjum ogólnokształcącego lub zakładu naukowego uznanego za równorzędny bez egzaminu. Program obejmuje przedmioty fachowe takie, jak: gotowanie, pieczenie, przetwórstwo, porządki, szycie, pranie, towaroznawstwo, higjena, hodowla roślin, rachunkowość, estetyka mieszkań oraz etyka, nauka obywatelstwa, psychologja społeczna, naukowa organizacja pracy, administracja, ustawodawstwo społeczne, ekonomja społeczna, zwiedzanie instytucyj społecznych.

Specjalny nacisk kładzie się na wyrobienie społeczne uczenic, na ideowe traktowanie swego zawodu. A zawód absolwentek liceum gospodarczo-społecznego? Kierownictwo gospodarstw instytucyj, o których już wyżej była mowa, obecnie zaś wobec wprowadzenia reformy szkolnej i kasowania seminarjów dla nauczycielek gospodarstwa domowego — możność uzyskania praw — do nauczania gospodarstwa w szkołach gospodarczych (oczywiście po odbyciu przepisanej praktyki zawodowej). Dotąd 48 absolwentek wyszło ze szkoły łódzkiej, a 85% pracuje zarobkowo. W dzisiejszych czasach jest to b. duży procent. Szkoła prowadzi też i Roczną Szkołę Przysposobienia w gospodarstwie rodzinnem, której zakres nauczania obejmuje wszystko to, co jest kobiecie potrzebne do prowadzenia własnego domu.

Tutaj przyjmuje się dziewczęta po skończonej szkole powszechnej (Szkoły przysposobienia — znajdują się w Polsce już w dość dużej ilości — w Warszawie jest ich kilka i są dość znane).

Prowadzone są też kursy wieczorne dla pań, które bądź mają własne gospodarstwa i chcą je ulepszyć, bądź też zakładają je dopiero. Kursy te trwają krócej lub dłużej i obejmują takie działy, jak przetwórstwo owocowe i jarzynowe, kursy potraw jarskich, pieczenia ciast, przekąsek, legumin oraz całokształt gospodarstwa domowego wraz z nauką obywatelstwa, towaroznawstwa i higjeną.

Może jednak najbardziej interesującą wydaje mi się praca wśród szerokich warstw robotniczych. Zespolenie szkoły zawodowej z terenem z regjonem, jak to się dziś przywykło mówić, jest ideałem, do którego dążą szkoły. Dojście do tego jednak nie jest sprawą łatwą. Łódzkiej szkole gospodarczej udało się w bieżącym roku szkolnym pracę taką zapoczątkować przez urządzanie bezpłatnych pokazów dla robotnic fabrycznych.

Na pierwszy pokaz został wybrany pokaz bardzo atrakcyjny: (pokaz był 27 listopada) „Potrawy wigilijne w rodzinie robotniczej". Zaproszenia pisemne były doręczone rodzinom robotniczym osobiście przez uczenice II-go kursu liceum, które udały się do sąsiadujących ze szkołą t. zw. domów fabrycznych.

235 robotnic zgłosiło się na pokaz. Pierwsze lody zostały przełamane. Od 27 listopada odbyło się 20 pokazów bezpłatnych na których liczba uczestniczek wyniosła 3450. Tematy to: potrawy wigilijne, pieczenie pierników i strucli, pączków i faworków, ciast wielkanocnych, potraw ze śledzi, ryb morskich, mięsa, jarzyn, potrawy i przetwory z rabarbaru, układanie racjonalnych jadłospisów dziennych, badanie sposobem domowym zafałszowanych porduktów, utrzymanie porządków i t. p.

Pozatem, prawie każdy pokaz poprzedzała pogadanka z dziedziny kultury życia codziennego. Przepisy na potrawy wykonywane przez nauczycielkę na pokazie, odbite na powielaczu — otrzymywały robotnice w cenie 5 groszy.

Liczne były głosy uznania i podziękowań dla szkoły. Listy anonimowe w rozbrajająco naiwnej formie oznajmiały o sukcesach w gospodarstwie, np. „I dzieci się najadły, i goście, i na choince ładnie wyglądały (mowa o pierniczkach), wszystko za tanie pieniądze, a mąż powiedział, że teraz czuje, że ma żonę". — Albo: „Sąsiadki mi zazdrościły, ksiądz przy święconem chwalił bardzo, a ja mówię, że to ze szkoły pożytek. — I wszystko tanio". To ostatnie zdanie, powtarzające się często, jest dowodem, że nasi robotnicy nie umieją dawać sobie rady z podniesieniem poziomu swego standatru życiowego nawet wtedy, kiedy mają ku temu środki, bo nikt nad temi sprawami nie pracował, nikt ich tego nie uczył. A jest to przecie dla całego kraju sprawa ważna.

O ile mi wiadomo szkoła na rok przyszły robi szerokie plany w tej dziedzinie. Życzymy jej, aby zostały wprowadzone w czyn i znalazły w innych szkołach naśladowczynie.

P. G. J.

MATKI „MOICH DZIECI"

W dżdżysty poranek wiosenny siedzę w tramwaju, idącym w kierunku jednego z najuboższych przedmieść Warszawy i niewiadomo dlaczego zaczynam powtarzać w myśli wiersze hiszpańskiego poety:

In eso mund traidor
Nada es verdad ni meutira
Tado es segum el color
Del cristal con che se mira *

Do czego można by zastosować w tej chwili ten wiersz?

Nic łatwiejszego. Jestem lekarzem szkół miejskich. Jadę właśnie do jednej ze szkół na dalekiem, ubogiem przedmieściu. Za chwilę będę widziała te szeregi przybladłych twarzyczek. Usłyszę gwar setek młodocianych głosików, tupot setek par bosych, lub w podarte buty obutych stóp... to są właśnie „moje dzieci". Mam ich zgórą cztery tysiące. A za niemi cztery tysiące ognisk, domów, rodziców, braci i sióstr — takich różnych, pomimo niedoli, która ich zrównywa i brata.

— Jaka jest nudna praca w szkole — skarżyła mi się kiedyś jedna z młodych niezmiernie do medycyny przywiązanych koleżanek. — Zapominam wszystko, co umiałam z medycyny. Ach, gdybym za połowę tej pensji mogła się zaczepić o jaki szpital — westchnęła.

Tak, „moje dzieci", na szczęście są dosyć rzadko „ciekawemi przypadkami". Jest ich tak wiele że może mogłyby zainteresować antropologa. Ale wśród nas, lekarzy szkolnych, antropologów brak i ten „materjał" przechodzi przez nasze ręce niewyzyskany w tym kierunku.

Za to — ileż bezcennych obserwacyj życiowych można robić na tem stanowisku! Jak bardzo kształci kontakt codzienny z tą niezmierną ilością dzieci i dorosłych z różnych sfer, a nieraz zakątków kraju pochodzących. Największe żniwo w tym kierunku zbieram jesienią, kiedy badam dzieci z pierwszych oddziałów. Są to rozkoszne siedmiolatki jeszcze nie zmanierowane szkołą i chorobliwą chęcią naśladowania starszych. Wieje od nich świeżością wiecznie twór-

*) „Na tym zdradzieckim świecie nic nie jest prawdą, ani kłamstwem. Wszystko jest zależne od kryształu, przez który się patrzy". f

czej młodości. Przed paru dniami np. w rozmowie z jedną z nauczycielek dowiedziałam się, że po wizytacji inspektora, siwego starszego pana z bródką, dzieciaki z pierwszego oddziału przybiegły do swojej wychowawczyni rozradowane, podniecone, żeby się upewnić, czy to nie był przypadkiem Święty Mikołaj!

Badanie dzieci z pierwszych oddziałów odbywa się zwykle w obecności matek. Chodzi o informacje o dziecku, o chorobach, poprzednio przez nie przebytych, o jego rozwój we wczesnem dzieciństwie. Przytem najłatwiej jest po zbadaniu dziecka udzielić rad higjenicznych.

W mojej wyobraźni widzę ten szereg matek — takich różnych! Instynkt macierzyński jest rozdzielony między kobiety w dozach bardzo nierównych.

Widuję matki „żywiołowe", które, wyrzekając się niemal wszystkiego dla siebie, otaczają swe dzieci starannością prawie ponad miarę swej możliwości. Widzę nieraz inne, bardzo zrównoważone i spokojne, o mocnych zasadach moralnych które przywodzą mi na myśl typy matron polskich (o każdej z nich pisze się, że jeest „ostatnią" — na szczęście, jest ich jeszcze sporo); są dostojne w swej powadze i w swych skromnych strojach, mają jednak coś jakby królewskiego Przychodzą inne, czasem ładne żywe — uwodzicielki — tym dzieci są kochaną. ale dokuczliwą przeszkodą do jakiegoś ponętnego życia— nie wiedzą, jak sobie z niemi poradzić...

Czasami — wbrew moim intencjom i pomimo stałego braku czasu w tej pracy, która się nigdy nie kończy— mój skromny pokoik lekarski zamienia się w konfesjonał. Słucham i słuchać muszę zwierzeń, wypowiadanych cicho, szybko, czasem ze łzami. — To ona — ta Falska — pani doktór ją widziała? Jej dziewczynka chodzi z moją do trzeciego oddziału. Taka wysoka blondynka — ładna. On dla niej głowę stracił. A pani doktór wie? Jej mąż to się rozpił ze zmartwienia. Jego nawet z „tramwajów" wyrzucili, bo parę razy pijany na służbę przyszedł. Ona za to sprząta w biurze, w dyrekcji.

Tak — konkurencja jest groźna. Falska nietylko jest wybitnie ładna, ale ma w sobie to „coś", co dziś nosi trafną nazwę *sex-appell'u*. A słabi przedstawiciele tej silniejszej połowy rodu ludzkiego są wobec tego zupełnie bezradni. Giną poprostu, a za niemi ginie spokój domowego ogniska, szczęście i harmonja rodzinna...

— Czy on aby normalny. proszę pani? pyta mnie żywa jak iskra młoda praczka z pralni chemicznej. Obok niej stoi blady, apatyczny „siedmiolatek" o wyrazie oczu nasuwającym rzeczywiście podejrzenia co do stanu jego umysłu.

— A dlaczego? — pytam, przyglądając się malcowi.

— Wcale się uczyć nie chce. Boję się, że zupełnie do ojca podobny.

— Pocóż mu pani takiego ojca wybrała? — próbuję żartować.

— A czy ja wybierałam? Proszę pani! — i w oczach jej — dotąd roziskrzonych nadmiarem żywotności i temperamentu, zaczynają błyszczeć łzy.

Biorę ją za rękę żeby uspokoić i chcę zmienić temat rozmowy.

Ale mi się to nie udaje. Kobieta wybucha potokiem słów, jakby oddawna hamowanych. Los nad miarę smutny. Sierota, chowała się w prywatnym zakładzie dobroczynnym, gdzie było jej bardzo dobrze. Dziewczęta, gdy dorastały, uczono fachu. Moja interlokutorka wyuczyła się doskonale prania chemicznego i dostała zajęcie w jednej z pralni chemicznych miasta. Była zdolna, pomimo młodego wieku, zarabiała dobrze, cieszyła się względami właścicielki pralni, która roztaczała nad nią prawdziwie macierzyńską opiekę. — Już nie mogłoby mi być lepiej, jak wtedy — mówi — A potem nagle wszystko się zmieniło. Wrócił z wojska brat pani. Zwolnili go, bo był kontuzjowany ciężko, inwalida. Pani kochała brata, chciała mu pomóc. Kiedyś woła mnie do siebie i powiada, że o moim losie długo myślała i najlepiej będzie — powiada — kiedy za jej brata pójdę. Ona widziała, że ja i fach umiem i zaradna i gospodarna jestem. A to oferma taki, a stary, a brzydki.

— Za żadne żywe skarby w świecie — powiadam — ja za niego nie pójdę, bo mi się nie podoba. A ona na to: — Nie chcesz, ty niewdzięcznico — to od dziś dnia pracy u mnie nie masz, idź sobie w świat. — Ja w bek. Szesnaście lat miałam, nikoguteńko z rodziny, nie wiedziałam co zrobić. Bałam się i poszłam. A teraz... i znowu zalała się łzami.

— A co on jest z zawodu? pytam.

— Murarz — Ach, proszę pani — wcale nie pracuje. Ja „robię". Mnie tylko życie zmarnował, ot co!

I możnaby przedłużać w nieskończoność szeregi tych matek „moich dzieci". Wśród nich świeci mi zawsze ta szara postać robotnicy polskiej — od rana do wieczora przy pracy — z uśmiechem nieraz przez łzy. Ofiarna dla swoich, nie szczędząca sił ani zdrowia, żeby wyżywić i dobrze wychować gromadę dzieciaków.

— Ja to nic, proszę pani doktór, aby oni...

M. L.

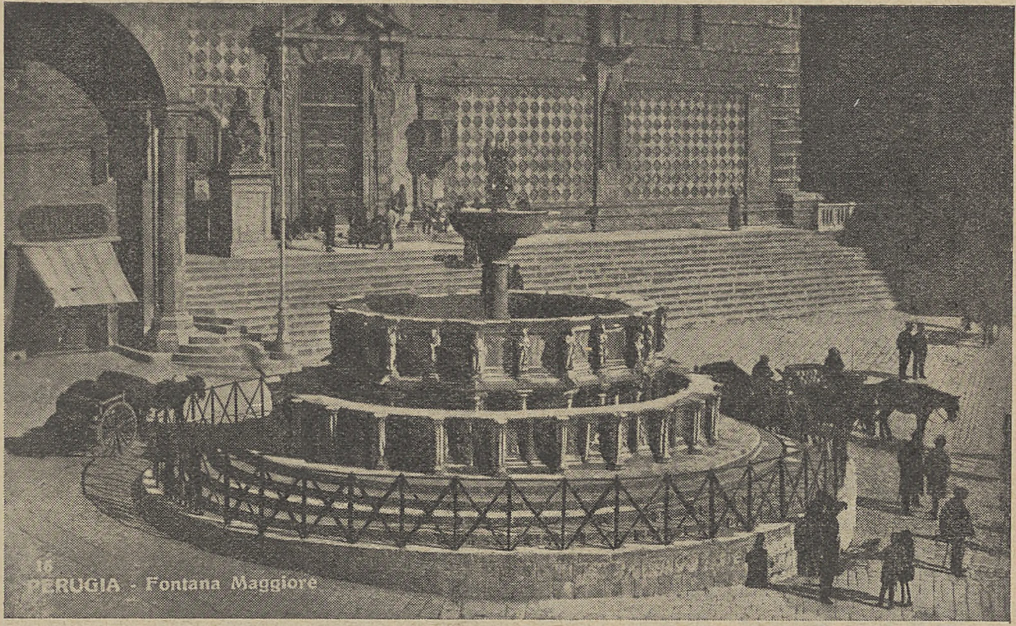
U źródeł wiecznego piękna i wiedzy



Perugia. Kościół św. Anioła — Świątynia pogańska.

Fantastyczne, niesamowite piękno Perugji przemawia do mnie tem silniej, im dłużej w niej przebywam i lepiej poznaję. Rozumiem jej kamienną wymowę. Żaden obraz, żaden natchniony opis nie zdoła oddać czaru tych odwiecznych, surowych budowli, jakby piętrzących się jedna na drugiej, tego skupiska niezniszczalnych głazów, rzuconych na tło łagodnie falistego krajobrazu przysłowiowo zielonej Umbrji i niemniej przysłowiowego błękitu włoskiego nieba. W każdem niemal oknie tych starych, mrocznych, odrapanych i napozór niemiłych domostw, ciasnych, średniowiecznych uliczek — czeka niespo-

dzianka rozległego, czarownego widoku, hen daleko, aż po sąsiedni Asyż, Gubbio, Montefalco i inne miasta, z których każde ma coś do pokazania i coś od powiedzenia. Niespodzianka czai się za każdym węgłem. Perugja to misto malowniczych łuków, szerokich, odwiecznych, kamiennych schodów i najrozmaitszych, zgoła fantastycznych połączeń poszczególnych kompleksów budowli. Tu stary kościół jest tak wciśnięty pomiędzy domy, że przechodzisz, nawet nie dostrzegając świątyni, tam znowu jakiś niemniej stary palazzo niepodzielnie panuje nad placem. Stroma uliczka wiedzie cię wgórę i już masz głęboko u swych stóp jakby inne miasto. Skąd się tu wzięło? Jakie względy, jaki instynkt artystyczny kazał w taki cudownie bezładny sposób wznosić na stromych stokach te masywy wielopiętrowych budowli o stylu tak czystym i surowym?



Perugia. Fontanna Magiore.

Niemniejszy podziw wzbudza właśnie niezniszczalność tych kamiennych cudów. Bo Perugja, burzona i palona w roku 40-tym przed erą Chrystusową, posiada dziś jeszcze niemal nienaruszoną swą „Cinta muraria", czyli opasanie z cyklopicznych murów, wzniesionych przez Etrusków w IV-ym w. przed Chrystusem. Jeszcze dziś strzeże Perugji 13 bram, pomiędzy któremi najwspanialsza jest tak zwana Porta di Augusto. Przypadek pozwolił mi zajrzeć do podziemnych lochów tej monumentalnej bramy, gdzie cukiernik obecnie przechowuje swe „gelatin". Zgroza przejmuje na myśl, co w tych ciemnych, zimnych i wilgotnych lochach niegdyś dziać się mogło i dziać się musiało.

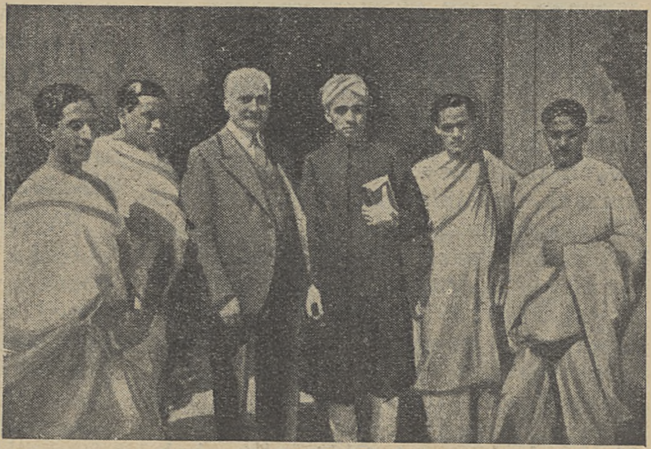


Perugia — Porto di Augusto.

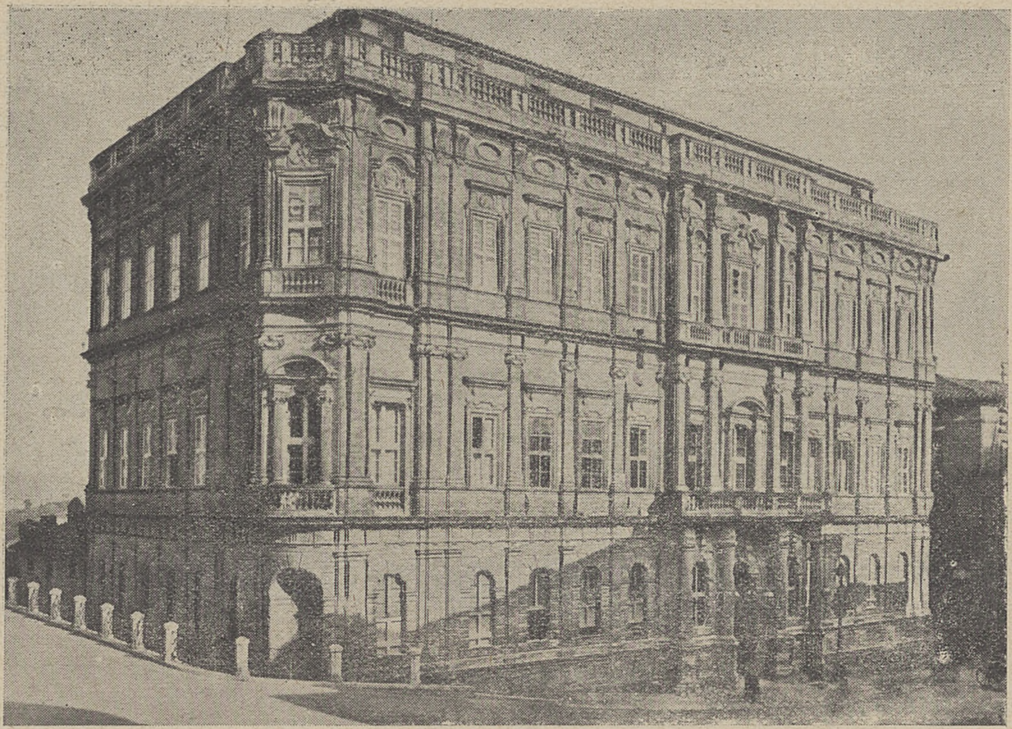
Wzniesione na tych, zda się, niezniszczalnych głazach epoki etruskiej budowle rzymskie, a potem średniowieczne zrosły się z niemi harmonijnie, tworząc właśnie tę oryginalną całość, tak pełną osobliwego uroku, gdzie nawarstwienie epok samo rzuca się w oczy.

Nie będziemy jednak z tych nawarstwień odczytywali dawnych dziejów Perugji, tak samo zawiłych, jak dzieje poszczególnych innych miast włoskich. Przeciwnie, pragnę tu opowiedzieć, jak w to stare, piękne naczynie potrafiła nowa Italja wlać nową zawartość, nadając jej formę niemniej piękną, choć nawskroś współczesną.

Nową treścią, wypełniającą dziś Perugję po brzegi, jest powołany tu do życia dekretem z dn. 25-go marca



Rektor w otoczeniu hinduskich studentów.



Perugia — Królewsko - Włoski Uniwersytet dla cudzoziemców.

1926 r. Król. - Włoski Uniwersytet dla Cudzoziemców (Regia Università Italiana per Stranieri), który właśnie w roku bieżącym zamyka pierwszy okres swej dziesięcioletniej działalności. Korzystając tedy z tego pierwszego jubileuszu, rozejrzyjmy się w tem, co tu już zostało dokonane i jakie są zamierzenia na najbliższą przyszłość, zreasumujmy cały dotychczasowy dorobek Uczelni, gdyż niewątpliwie ten rok jubileuszowy będzie przełomowym w jej istnieniu. Do takiego wniosku upoważniają nas na wielką skalę zakrojone poczynania, podjęte właśnie w r. 1935.

Uczelnia dla cudzoziemców w Perugji stanęła odrazu na wysokim poziomie i prześcignęła swe starsze siostrzyce w Sienie i Florencji. Początkowo nieznaczna liczba wykładów wzrosła obecnie do pokaźnej cyfry 1234 w ciągu kursu trzymiesięcznego. Z zalążka bibljoteki utworzył się wielotysięczny księgozbiór, obrót książek w ciągu trzech miesięcy r. 1935 dosięgnął cyfry 7785. Znikoma liczba kilkudziesięciu słuchaczy w pierwszym roku istnienia Uniwersytetu wzrosła w roku ubiegłym do 655; zamiast kilku krajów, które miały swych przedstawicieli na pierwszych kursach, ostatnie lata wykazują już 34 narodowości. Na kurs letni r. ub. najliczniej przybyli Węgrzy, bo w liczbie 107, drugie miejsce zajmuje Francja z 69 słuchaczami, trzecie Szwajcarja, czwarte Włosi, mieszkający zagranicą, piąte Niemcy, szóste Stany Zjednoczone Ameryki, siódme Wielka Brytanja, ósme zaś Polska z 30-ma słuchaczami. Chińczyków było zapisanych 12, tyluż Hindusów, Albanja, Liban, Palestyna i inne też wysłały swych przedstawicieli.

Program wykładów obejmuje przedewszystkiem bardzo gruntowną naukę języka włoskiego, dalej dzieje kraju oraz historję jego sztuki i literatury obok literatury współczesnej. Program ten rozłożono na trzy zasadnicze kursy trzymiesięczne: przygotowawczy, średni i wyższy. Pozatem odbywają się tak zwane „Corsi di Alta Coltura", na których luminarze literatury i sztuki dają zamknięte cykle, obejmujące pewną epokę historji, literatury i sztuki włącznie z kursem etruskologji. Odbywają się też studja nad Boską Komedją Dantego, niekiedy przez kilka godzin dziennie. Wogóle kult Dantego wzmaga się w Italji, co nie pozostaje bez wpływu również na przebieg prac w uniwersytetach sezonowych. Jednocześnie zaznajamia się słuchaczy w poszczególnych wykładach lub cyklach z ustrojem współczesnej Italji.

Na zakończenie kursów odbywają się egzaminy trzech stopni. Z pośród 583 studentów w r. 1934 przystąpiło do egzaminów 100, a zdało je 75, z tych 12 w stopniu najwyższym, uprawniającym do nauczania języka włoskiego zagranicą.

Poczyniwszy ten ścisły obrachunek dorobku dziesięcioletniej pracy, zapoznajmy się z zadaniami, które postawił sobie Uniwersytet dla Cudzoziemców w Perugji na najbliższą przyszłość i do których wykonania już przystąpił. Przedewszystkiem więc należy podkreślić fakt, że począwszy od października r. u. Uniwersytet otworzył swe podwoje także na kursy jesienne i wiosenne, rozszerzając tem okres wykładów do 9 miesięcy, podzielonych na trzy kursy trzymiesięczne. Kurs jesienny rozpoczyna się z dniem 1-go października i trwa od 23-go grudnia, kurs wiosenny trwa od 1-go kwietnia do 1-go lipca, a kurs letni od 1-go lipca do 1-go października. W ten sposób uprzystępni się korzystanie z wykładów w Perugji także tym, dla których miesiące letnie nie są dogodne, dając zarazem możność pogłębienia studjów temu odłamowi słuchaczy, który chce i może poświęcić im więcej czasu. Miarą jednak najwyższego wysiłku w dążeniu do uczynienia zadość wzrastającym potrzebom tak pięknie się rozwijającej placówki jest rozpoczęta w roku 1935 rozbudowa wspaniałego pałacu Gallenga, w którym Uniwersytet ma swoją siedzibę. Jest to dawna pańska rezydencja z XVIII-go w., utrzymana wewnątrz i zewnątrz w stylu baroku. W tymże stylu będzie też utrzymana cała dobudowa, która ma tworzyć z budynkiem macierzystym nierozerwalną, harmonijną całość olbrzymiego czworoboku. Ze zdziwieniem przyglądałam się rosnącym w oczach murom nowego budynku z olbrzymich głazów kamiennych i cegły: wydawał mi się on jedną z tych cyklopicznych budowli etruskich, których tyle zachowało się w Perugji. Na pierwszem piętrze nowego skrzydła pałacu powstaje aula o 250 metrach kwadratowych. Pomyślano także o salach klubowych dla studentów, o czytelni i wielkiej sali balowej.

Pobyt na Uniwersytecie dla Cudzoziemców w Perugji przynosi obok intensywnej pracy także sporo rozrywek i urozmaicenia. Podczas tegorocznego kursu mieliśmy w związku z wykładami o muzyce włoskiej z XVIII-go w. szereg koncertów, z których niektóre odbyły się w starych, pięknych, nastrojowych kościołach. Uzupełnieniem wykładów i poglądową lekcją historji sztuki są wycieczki w bliższe i dalsze okolice, jak do Asyżu, siedliska legendy franciszkańskiej, do Orvieto, Todi, Gubbio, i t. d. Sama Perugja jest także miastem wybitnie artystycznem i posiada skarby sztuki w starych kościołach, pałacach muzeach i galerjach. Przecież tutaj żył i pracował Piero Vanucci, zwany Perugino, tutaj też w jego szkole kształcił się Raffael.

Ponieważ Perugja leży 500 metrów nad poziomem morza, na wzgórzu, które panuje nad doliną Tybru, klimat jej nawet w miesiącach letnich jest miły i niezbyt gorący. W nas, dzieciach chmurnej północy, to wiecznie uśmiechnięte niebo, te zarysy gór, odcinające się przeczystą linją od horyzontu, rodzą jakąś niezwykłą radość

życia i podniosłą chęć do pracy. Zresztą cała wielorasowa, wielobarwna i wielojęzyczna studenterja oddaje się jej z równym zapałem bez względu na wiek, obejmujący całą skalę od 20-go do 70-go roku życia. Przeważa jednak młodzież obok znacznej ilości słuchaczy w wieku średnim. I tutaj na gruncie wspólnych zainteresowań umysłowych, na gruncie wspólnego entuzjazmu dla tej odwiecznej krynicy piękna, jaką jest Italja, na gruncie zgodnego współżycia ludzi, już dojrzałych, odradza się poczucie braterstwa narodów i poszanowanie kultur obcych wbrew szaleńczym usiłowaniom cofnięcia nas ku czasom barbarzyństwa. Organizowanie uniwersytetów dla cudzoziemców w coraz większej ilości krajów i miast jest jednym z niewielu dodatnich objawów naszych czasów, wyrazem, że pojęcie ogólnoludzkiej kultury jeszcze w nas jest żywe i żywotne.

Dlatego też Uniwersytetowi dla Cudzoziemców w Perugji na przełomie jego dziesięcioletniej działalności życzyć należy dalszego rozkwitu. Dodajmy, że radcą honorowym Uniwersytetu jest obecny ambasador włoski w Warszawie, Jego Ekscelencja dr. Giuseppe Bastianini, który jest także dzieckiem Perugji. Królewsko-Włoska Ambasada w Warszawie wyznaczyła kilka stypendjów dla polskich studentów Uniwersytetu dla Cudzoziemców w Perugji.

Elesta.

OKNO NA ŚWIAT

Pierwsza kobieta sołtys

W Konstancinie pod Warszawą stanowisko sołtysa piastuje kobieta, p. Zofja Millerówna. P. Zofja Millerówna jest młodą, pełną wdzięku osobą, tem nie mniej pracę swą pełni z zapałem, ku ogromnemu zadowoleniu obywateli.

Panna Millerówna urząd swój objęła 15 grudnia 1933 r., była pierwszą kobietą na stanowisku „sołtysa" — teraz podobno mamy jeszcze jednego sołtysa w spódnicy w Wejherowie.

Dzieci polskie odwiedziły dzieci w Ameryce

W dn. 18 maja wyruszył z Gdyni w pierwszą swoją podróż do New Yorku nowy polski transatlantycki okręt M/S „Batory". Korzystając z uprzejmości Linji Gdynia-Ameryka, Światowy Związek Polaków z Zagranicy w porozumieniu z Ministerstwem Wyznań religijnych i Oświecenia Publicznego, wysłał na pokładzie „Batorego" 15-ro dzieci polskich w wieku od 10 do 12 lat, które zawiozły swym kolegom w Ameryce pozdrowienia z kraju.

Wycieczka delegacji dziecięcej składała się z 8-miu dziewcząt i 7-miu chłopców. Dzieci odbyły podróż pod opieką specjalnie wysłanej przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy opiekunki oraz nauczyciela, delegowanego przez władze szkolne.

Rodaczki zagranicą uczą się haftów polskich

Kobiety polskie zagranicą odczuwają często brak wzorów do haftów ludowych, które przypominają na obczyźnie Polskę, a wśród obcych szerzyłyby propagandę naszej sztuki. Światowy Związek Polaków z Zagranicy zaradził temu brakowi, wydając Album Haftów Polskich.

Polki zagranicą znajdą w nim przeróżne wzory haftów i ściegów, — wszystkie w stylu ludowym polskim.

Klub kobiet radnych

Niedawno powstał w Warszawie klub radnych i działaczek samorządowych, mający na celu kształcenie i przygotowywanie kobiet na radne.

Do tej pory odbył się jeden kurs prelegentek, trwający dwa dni przy współudziale 51 kobiet, przybyłych z powiatu warszawskiego.

Zadaniem i celem klubu jest nauczenie radnych sztuki prowadzenia obrad, objaśnienie roli kobiety w samorządach, pozatem organizuje się szkołę mówczyń.

Bo kobieta, chociaż cieszy się niezasłużoną opinją „gadatliwej", w rzeczywistości nie umie przemawiać publicznie. Szczególnie kobieta wychowana i zamieszkała na wsi lub w małem miasteczku. W głowie jej powstaje wiele projektów, często niezwykle doniosłych, ale nie umie o nich mówić.

Pozatem rzadko która radna zna dobrze ordynację wyborczą, ustawy i nie ma wyobrażenia o przewodniczeniu komisji.

A to są sprawy ogromnej wagi.

Klub radnych mieści się w Warszawie przy ul. Mokotowskiej 14. Powstał on z inicjatywy Pracy Obywatelskiej Kobiet. Kierownictwo klubu spoczywa w rękach zasłużonej działaczki społecznej, b. posłanki na Sejm, p. Eugenji Waśniewskiej.

Szkolenie żon w Niemczech

Niedawno założono w Niemczech szkołę żon dla mężczyzn pracujących w krajach kolonjalnych, wychodząc z założenia, że ludzie, mieszkający w krajach tropikalnych, a głównie kobiety, muszą być odpowiednio przygotowane do nieznanych im warunków życia.

W „szkole kolonjalnej" kandydatki na żony otrzymują teoretyczne i praktyczne przeszkolenie. Dziewczęta uczą się doić krowy, siodłać konie, strzelać, kowalstwa, szewstwa, stolarstwa, obróbki metali, szycia materaców i t. p. Pozatem kurs obejmuje higjenę tropikalną i naukę języków kolonjalnych.

Kurs trwa trzy lata. Po ukończeniu szkoły, dziewczyna łatwo znajduje „zajęcie" przy boku męża, któremu potrzebna jest bardziej istotna towarzyszka życia, niż po europejsku wychowana kobieta, która nie dałaby sobie rady w nowych, nieznanych warunkach.

W każdym razie pomysł niezwykle oryginalny i w dzisiejszych czasach niechęci mężczyzn do małżeństwa, niezwykle... propagandowy.

Eskapada amerykanki

Kobieta, opływająca w dobrobycie, nawet w komforcie, posiadająca możliwości spełnienia najbardziej fantastycznych zachcianek, kobieta, dla której nie istnieją żadne ograniczenia, a pieniądze płyną nieprzerwanym potokiem...

Taką kobietę spotkać dzisiaj można tylko w kraju wszelkich możliwości, jaką jest Ameryka!

Ale nawet Amerykankę może ogarnąć przesyt. Wszystkie pragnienia spełnione, zanim je zdoła wypowiedzieć, brak aspiracyj, dążeń, zmagań...

Do takich wybranek losu należy Mrs. Draper, żona miljonera, młoda, piękna i powabna. Zdawało się, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. I nagle znikła.

Początkowo sądzono, że padła ofiarą gangsterów, ale wkrótce okazało się, że tym razem porywacze ludzi nie ponoszą żadnej winy za uprowadzenie miljonerki.

I wreszcie znaleziono ją. Na pokładzie parowca „Georgic", który przybył do angielskiego portu Tilbury. Podczas podróży Mrs. Draper żywiła się owocami i mlekiem skondensowanem, zabranem z Ameryki. W dzień ukrywała się na starym leżaku. W nocy sypiała w hali towarowej. W chwili znalezienia jednej z bogatszych kobiet Ameryki, miała ona na sobie łachmany i uparcie twierdziła, że jest handlarką owoców, bezdomną żebraczką. Gdy wreszcie przekonała się, że nikt jej nie wierzy, a policja posiada niezbite dowody, że nędzarka jest miljonerką nowojorską, Mrs. Draper, przyznała się do wszystkiego.

Tak jest. Uciekła z domu. Znudziła jej się monotonja i jednostajna szarzyzna życia bogatej kobiety. Pragnęła nietylko przeżyć sensację, lecz choć na pewien czas zetknąć się oko w oko z prawdziwem życiem!

Tak brzmią wynurzenia miljonerki. Mrs. Draper zamilcza jednak o rozkoszy rozstania się z owocami i mlekiem i spożycia normalnego obiadu. Ani słówkiem nie wspomina o przyjemności kąpieli i odpoczynku w luksusowej kabinie okrętu, którym natychmiast wróciła do New-Yorku.

Ale... bywają chwile, w których nawet dobrobyt może się znudzić...

Norweżki radzą

Chociaż kobiety w krajach północnych o wiele wcześniej strząsnęły z siebie więzy niewoli, niż na południu, jednakże nie udało im się odrazu zdobyć równouprawnienia. W 1912 r. kobiety nie były przyjmowane w Norwegji do min. wyznań, rady królewskiej, dyplomacji i nie miały prawa zajmować stanowisk wojskowych oraz cywilnych w armji.

W roku 1930 złożono do parlamentu projekt ustawy, przewidującej dopuszczenie kobiet na wszystkie stanowiska za wyjątkiem kościelnych i armji.

Niestety, przez cztery lata projektem tym nikt się nie zajmował, wreszcie w r. 1934 strząśnięto z niego czteroletni pył, zdołał nawet uzyskać aprobatę izby wyższej, ale izba niższa nie wypowiedziała się za równouprawnieniem kobiet z mężczyznami.

Na początku roku 1936 parlament ponownie zainteresował się projektem ustawy.

Postanowiono nietylko poddać rewizji decyzję izby niższej, lecz sam projekt rozszerzyć, proponując dopuszczenie kobiet na wszystkie stanowiska, nawet kościelne i do armji. Specjalna komisja, powołana przez ministerstwo sprawiedliwości, zażądała skasowania ustawy z r. 1912. Pozatem ta sama komisja żąda wprowadzenia nowej ustawy, któraby nietylko pozwoliła kobietom na obejmowanie tych samych stanowisk co i mężczyznom ale zrównała ich płace.

Kobiece związki norweskie są pełne optymizmu.

Wierzą, że uda im się nareszcie zrównać w prawach z mężczyznami.

Argus

WOJENKO WOJENKO....

3.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA MATKI

Wiedziałam, że dowódca skłamał. Wiedziałam, że żołnierz nie umrze napewno, ani nie zemdleje od uderzenia kolbą. Wiedziałam, że dowódca skłamał, a jednak nie chciałam usłyszeć prawdy.

Przypomniały mi się okropne opowiadania o tem, jak chłopi ułanom wydłubywali oczy, obcinali nosy i uszy i w tej chwili zadźwięczały mi słowa porucznika: „Poznaliśmy po naszywkach na mundurach, że z mojego są szwadronu".

Uczułam, że robi mi się ciemno w oczach. Nie pamiętam, ale musiałam pytać czy pochowano ich, mojego syna i tamtego, musiałam pytać o to, bo dotychczas widzę, jak dowódca Tadeusza pochyla się nade mną, trzyma mnie za rękę i słyszę jego głos: „Pochowaliśmy obydwu razem, w tej wiosce, na prawosławnym cmentarzu".

— — — — — — — — — — —

Marcin nie może zrozumieć, że Tadzik nie poległ w żadnej wielkiej bitwie. Nie może pojąć, że śmiercią swą nie przyczynił się do żadnego zwycięstwa. Że w historji wojny nieznana jest nazwa wioski, w której zginął i że miejsce jego w pułku dało się zastąpić dziesiątkami innych żołnierzy.

Gdyby Tadzik zginął w bitwie pod Krechowcami, czy Radzyminem, gdyby raport wojskowy mówił, że Tadeusz Zawadzki był najdzielniejszym żołnierzem w pułku Marcin mniejby cierpiał. Czuję to dobrze, że do bólu Marcina miesza się uczucie zawodu, że Tadzik był zwykłym, nieodznaczającym się niczem żołnierzem, odważnym jak wszyscy, i że zginął w jakiejś nieznanej wiosce pod Kaniowem, zamęczony przez chłopów. a nie zabity kulą nieprzyjacielską. W tym bólu Marcina jest coś z zawiedzionej próżności ojca, który w śmierci samej, chciałby znaleźć jeszcze coś, coby syna jego wyróżniło z szarego tłumu żołnierzy. I czuję, że za tę różnicę, która leży między cierpieniem mojem i Marcina mogłabym go nienawidzieć; nienawidzieć go za to, że mogłyby istnieć okoliczności w których cierpienie Marcina byłoby mniejsze, mimo, że Tadzik nie żyje.

ROZDZIAŁ VI.

W trzy lata potem siedzieliśmy z Marcinem tak samo na ganku, obrośniętym dzikiem winem, jak wówczas. kiedy doszła nas ostatnia wieść o Tadziku. Wieść o tem, że go już nie ma. Ktokolwiek szedł do nas, czy był to listonosz, czy gość lub posłaniec, nie trwożyliśmy się nigdy, jaką niesie wiadomość, bo niczego nie mogliśmy już utracić. Nie było wieści, którąby nas mogła zasmucić, jak nie było takiej, którąby mogła nieść pocieszenie. Zdaleka ujrzeliśmy idącą drogą wiotką postać Madzi. Szła do nas. Uśmiechnęliśmy się jadnakowym martwym uśmiechem, który nie jest ani wesoły, ani smutny.

— Madzia idzie—powiedział Marcin.

Madzia przychodziła do nas często i niezmiennie odwiedzała nas we wszystkie święta, a w wilję zawsze dzieliła się z nami opłatkiem. Teraz podeszła do nas bez uśmiechu na twarzy, niezwykła powaga i wzruszenie biły z jej oczu. Usiadła jakoś inaczej, niż zwykle i potem powiedziała odrazu:

— Ja dziś przyszłam, żeby powiedzieć, że wychodzę za mąż. Nie chciałam, żeby państwo dowiedzieli się o tem od innych. —

Po tem powiedzeniu umilkła i patrzała, jakie to na nas wywrze wrażenie, ale napewno nie wywarło złego.

— Madziu — odezwałam się, — dziękuję ci, żeś przyszła nam powiedzieć, to było ładnie z twojej strony. —

Madzia przysiadła bliżej mnie i pochylając swą pogodną jak niebo twarz mówiła:

— To ja dziękuję, nie chciałabym za nic was stracić, a tak się bałam, że może to źle zrozumiecie, może nie źle, ale nie tak jak trzeba. Bo to wygląda, jak gdybym zapomniała, a to nieprawda, nie zapomniałam, nigdy nie zapomnę. —

— Rozumiem, Madziu, — uśmiechnęłam się do niej, — I wiem, że nie zapomniałaś, ale ponieważ on odszedł, a ty zostałaś, musisz całe długie życie przeżyć i to dobrze, że je przeżyjesz we dwoje, a nie samotnie.

— I będę przychodzić jak dawniej i będziemy bliscy sobie jak dawniej.

— Na grunt realny sprowadził rozmowę Marcin stawiając pytanie:—Za kogo Madziu wychodzisz za mąż? —

Pytanie to dotychczas wydawało mi się tak obojętnem, że zapomniałam je postawić. Czułam, że i dla Madzi nie było to kwestją pierwszorzędnej wagi i zrozumiałam, że pytanie to było jej prawie przykre. Wyczuwałam intuicyjnie, że ktokolwiek to był. nie był on następcą Tadzika, nie był kimś, ktoby zatarł jego wspomnienie. Wiedziałam, że jest to tylko ktoś, z kim Madzia chce iść przez życie poprostu dlatego, by nie iść samotnie. Madzia wiedziała, że ja tak rozumiem i była wdzięczna, że wyczułam to wszystko, oszczędzając jej wynurzeń, któreby były dla niej przykre. Był to okres, w którym z Madzią rozumiałam się doskonale. Oczywiście nie tak, jak kiedyś rozumiałam się z Tadzikiem, który odziedziczył po mnie zarówno cechy fizyczne, jak i duchowe, niemniej jednak pomiędzy mną a Madzią było porozumienie głębokie, którego istotę stanowił fakt, że obie kochałyśmy Tadzika. Nie było to porozumienie trwałe i nie mogło sprząc nas na zawsze. Wiedziałam, że to intuicyjne wczuwanie się jednej w myśli drugiej będzie trwało dopóty dopóki Tadzik będzie w sercu Madzi treścią jej istoty. Byłyśmy z Madzią różne, lecz czułam, że gdyby różnice nasze były jeszcze stokroć większe, nie było takiej przepaści między nami leżącej, którejby nie wyrównał Tadzik. Gdy patrzałyśmy na siebie, na dnie naszych oczu, jedna czytała w spojrzeniu drugiej tę samą bolesną otchłań tęsknoty, tę samą bezbrzeżną pustkę.

Teraz Madzia wyglądała jak gwałtownie strącona ze świata ducha na niziny grunt rzeczywistości. Zaczerwieniła się mocno, jakgdyby teraz właśnie mówiła coś, co ubliżało pamięci Tadzika, i powiedziała:

— Za Antoniego Mareckiego. —

Marecki był następcą po starym Zarębie, który bardzo już zdziecinniał i zdziwaczał pod koniec.

— Ciocia Ania — mówiła dalej — bardzo się cieszy, że będzie mnie miała bilsko. —

Mimowoli spojrzała na przeciwległy pagórek, gdzie na tle świerków stał jasny i przytulny dom Mareckiego.

Potem rozmowa się już nie kleiła. Z chwilą gdy padło nazwisko Mareckiego nie można było mówić o tym, który odszedł. a o tym, który został, nikt z nas trojga mówić nie chciał.

ROZDZIAŁ VII

Niby nic ważnego nie zaszło. Niby nic się nie zmieniło, a jednak czułam, że wszystko dokoła idzie naprzód i traci z oczu to, co zostało daleko poza nimi. Ja tylko jedna zostałam na miejscu. Zaczęło się drobnym, nic nieznaczącym wypadkiem. Była połowa stycznia. Obudziłam się z rana dość późno, wstawałam wolno, zamyślona usiadłam przed lustrem i rozczesywałam moje siwe włosy. Patrzałam uważnie i naraz w myśli mojej zjawiła się refleksja:

Wyglądałam tak młodo do niedawna, że nikt nie wierzył, że jestem

matką, która ma dorosłego syna ale dziś nikt nie może wątpić, że jestem matką, która go s t r a c i ł a.

Z tych tragicznych refleksyj, które snułam jak zawsze na jedyny temat, o którym myślałam niezmiennie nawet nie wiedząc o tem, tak jak człowiek nie potrzebuje pamiętać, aby wiedzieć, że widzi, wyrwał mnie głos Marcina, dochodzący z sąsiedniego pokoju:

— Jak się masz Tadziku, dawno nie widzieliśmy się. —

W pierwszej chwili myślałam, że Marcin oszalał. Po chwili jednak usłyszałam niemiły, anemiczny jak zawsze głos Tadeuszka. Wiedziałam teraz, że siostrzeniec przyjechał nas odwiedzić. Weszłam od saloniku i odezwałam się: — Marcinie, kogo witasz? Ach to Tadeuszek przyjechał. Bardzo się cieszymy, Tadeuszku. —

Tadeuszek opowiadał nam o swoich kłopotach i radościach, słowem o swojem życiu, przez które nie leciał z młodzieńczym rozmachem zdrowia i siły, lecz przez które drepcił cierpliwie, ciesząc się i smucąc na przemian, nie zwalniając ani nie przyśpieszając nigdy swojego truchciku.

Popołudniu przyszedł proboszcz i ciocia Ania. Zasiedliśmy do kart wraz z Tadeuszkiem. Niby wszyscy byli jak dawniej, a jednak poraz pierwszy wyczułam coś, czego przedtem nie widziałam. Napewno nie był to przełom gwałtowny, napewne szło to powoli i dokonywało się samo w sobie, lecz ja opanowana jedną myślą wyłącznie, obojętna na wszystko inne, nie dostrzegałam dotychczas tego i dopiero ranne wydarzenie wyrwało mnie z letargu na chwilę, bym mogła dostrzec to, co dotąd mimo mej uwagi uchodziło. Czułam, że z zachowania wszystkich znikł ów specjalny odcień powagi i smutku, z którym się do nas odnosili. Że znikło owo czułe baczenie by nas nie urazić jakiemś słowem niebacznem czy uśmiechem zbyt skorym.

(Dn.) *Jadwiga Żylińska*

NASZE ZAGRANICĄ

WANDA WERMIŃSKA PO TEJ I PO TAMTEJ STRONIE OCEANU

Żadna z artystek naszych zagranicą nie jest aż tak „Polką", jak Wanda Wermińska.

Zacząwszy od imienia i nazwiska nieprzyozdobionego pseudonimem międzynarodowym rdzennie polskiego, poprzez aparycję typowo-słowiańską złotowłosą, hożą, pełną bujnego zdrowia i prostoty uśmiechu. Twarz Wandy Wermińskiej ma charakterystyczne cechy rasy i indywidualności narodowej. Dumne i jasne czoło, ciekawie zrośnięte brwi i wysunięta naprzód, pełna siły broda.

Noszone przez nią na scenach i estradach ubiory są też uosobieniem polskości i naszego barwnego folkloru.

O hej!...

Te chusteczki, wianki, wstęgi, gorsety, zapaski, kiecki, fartuchy, a korale!

Aż dziw brał w takiej Kurytybie, Rio de Janeiro, Ponte Grossa, Izalti Balsa Nova, Abraches czy Rio Claro!

Aż łzami zachodziły oczy w Rio Grande, Pelotas, Porte Allegro, czy St. Paulo!

Nostalgja po drugiej stronie Wielkiej Wody.

Żadna z naszych artystek zagranicą nie jest aż tak Polką, jak Wanda Wermińska, bo przecież jej repertuar, jej piosenki o „Skowroneczku", o „Jeziorze", o „Kasi, co wędrowała..." Jej pieśni krakowskie, łowickie i te Janosikowe z Podhala, jej wielki repertuar operowy, są jedną wielką propagandą patrjotyczną.

— „Niech głęboko wpoi się w pamięć Waszą pieśń ojców waszych! Droga, polska pieśń! Nią się krzepcie. Nią się weselcie!" — Tak mówi z 35-ciu estrad Ameryki Południowej jasnowłosa artystka — a potem płyną arje z oper Moniuszki („Hrabina", „Halka"), Szymanowskiego („Harnasie"), Nowowiejskiego („Legenda Bałtyku"), Wydżgi („Pan Tadeusz").



Te wianki, wstęgi, gorsety, korale....

Niema w tym repertuarze szowinistycznego zacieśnienia. Wanda Wermińska studjowała repertuar włoski przez dwa lata w Medjolanie, a nad Wagnerem i klasykami pracowała w Wiedniu równie długo, debiutując w tamtejszej Stads Operze jako pierwsza Polka po 35-cioletniej przerwie („Aida").

Niema, powtarzam, w repertuarze wielkiej artystki szowinistycznego zacieśnienia — jest tylko wielkie w nim *rozmiłowanie*.

Czy to więc w Pradze, Bukareszcie, Belgradzie, Rydze, Stokholmie, Kopenhadze, Barcelonie, Berlinie, czy Leningradzie — Wermińska najchętniej śpiewa pieśń polską, która ją przenika nawskroś, i która z niej promieniuje słonecznym blaskiem narodowym.

*

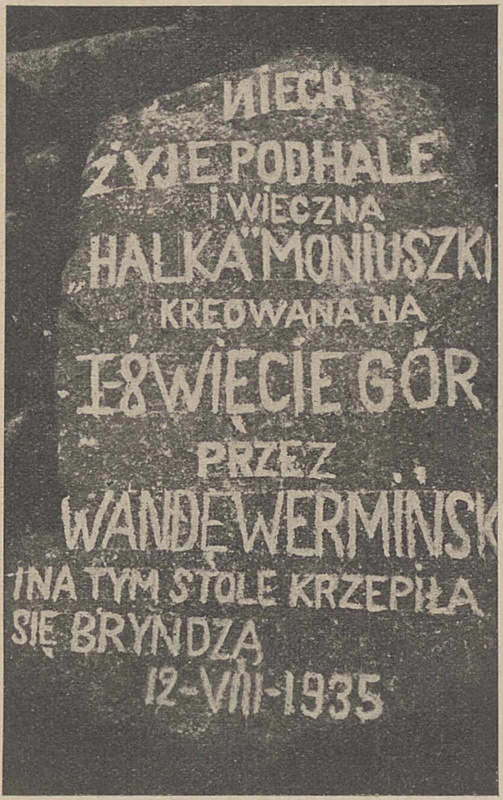
A zaczęło się to w roku 1916—17.

Kiedy to na wsi, w Błoszczyńcach, pod Białą-Cerkwią — kresowa panienka uczyć zaczęła 35-oro dzieci uciekinierów z kraju. Żeby nie zapomniały mowy polskiej. I śpiewała im trochę. A potem pracowała w P.O.W. W szpitalach. Na punktach żywnościowych. Wszędzie i zawsze, jak tylko mogła i umiała, głosem nieuczonym śpiewała tym strzelcom, czy tym szarym żołnierzykom.

Po latach, kiedy stała się wielką artystką, kiedy głos jej nabrał mocy rozpiętości arcyszerokiej i przebogatej, kiedy brzmienie jego zadziwiło znawców łatwością frazowania — nie przestała podawnemu „Im" śpiewać bezinteresownie, tysiące razy. Na akademjach. Na koncertach.

Na Polski Czerwony Krzyż. Na pomnik poległych pod Ossowem. W Olszynce Grochowskiej. W Żelazowej Woli. Na uroczystościach Tetmajerowskich. Na Święcie Gór w Zakopanem. Na podwórcu Wawelskim!

Wszędzie tam, gdzie polskość nasza przemawiała do nas bohaterstwem przeszłości, pięknem artyzmu, czy



przyrody! Wszędzie gdzie potrzeba była pomóc finansowo i ofiarnie. Wszędzie tam, w kraju i zagranicą, była zawsze Wanda Wermińska. Służyła swym głosem, podobnym do pereł wielkich, różowych, które hojnie rozsypywała ruchem szczodroty.

*

Czasem zamiast Wandy Wermińskiej stawała na estradzie „Ciocia Wandzia". Ukochana w Polsce i na emigracji, z promienną, jasną twarzą kochająca dzieci i kochana przez dzieci „Ciocia Wandzia".

Jakby wycięta nożyczkami z obrazów Stryjeńskiej. Jako kraśna Kujawianka, zamaszysta Ślązaczka, kolorowa Krakowianka, czy sentymentalna Kurpianka. I zaraz wszystkie małe i duże dziewczynki, i zaraz wszyscy mali i duzi chłopcy na koncercie czuli się jak u siebie w domu. Zaczynała się pogawędka z estrady. A potem wspólne, chóralne śpiewy. A potem dziesięć tysięcy listów od dzieci z kraju do dzieci na emigracji. I od dzieci z emigracji do dzieci szczęśliwych, mieszkających w Polsce...

Tak to Ciocia Wandzia uśmiechnięta i serdeczna umuzykalnia dziecia rnię i przeprowadza polską ideologię.

Marzy się kochanej Cioci Wandzi opera dla dzieci w Warszawie. Jakieś bajeczki muzyczne pisane przez „Wujaszka Mayznera" (a może nawet nie „Wujaszka" a... „Tatusia" Mayznera), jakieś balety dla nich w rodzaju „Smoka i Krakusa" Morawskiego. A dla starszej młodzieży koncerty i opery budzące patrjotyzm. Więc np. chronologicznie przeprowadza dzieje Polski od Piastów w ujęciu muzyki i śpiewu, jako pole do ekspansji twórczej dla młodych kompozytorów. (Maklakiewicz, Perkowski, Kondracki, Nawrocki — uczeń Paderewskiego), librecistów, artystów i dekoratorów.

Marzy się wykonanie starych rycerskich pieśni, zbieranych przez majora Andrzejewskiego, odtworzenie „Kilińskiego" Joteyki i „Kościuszki pod Racławicami..."

Berlin przecież ma pięć oper i do tego teatr dla młodzieży!

Leningrad przeprowadza propagandę od podstaw, w teatrze dla najmłodszych „towarzyszy".

A my?

Właśnie dlatego, że Ciocia Wandzia tak dużo jeździła i tak wiele widziała po tej i tamtej stronie Wielkiej Wody — tak wiele chciałaby zmienić u nas w kraju i tak wiele wynieść od nas zagranicę w formie wielkiej, patrjotycznej propagandy.

Już nie takiej sporadycznej, wykonanej na własną rękę, jednostkowej. Ale polegającej na wymianie całych zespołów artystycznych.

Więc marzy Wanda Wermińska nietylko o tej „Halce", którą będzie kreowała sama na jesieni w Bukareszcie, ale o masowym wyjeździe zespołu polskiego do Berlina... Zaśpiewaliby tam „Manru" Paderewskiego! Albo „Lady Macbet" Szostakiewicza...

Mają przecież i śpiewaków o ciepłych, Carusowskich głosach i śpiewaczki pierwszorzędne i dorobek operowy wielki...

Marzenia...

Wanda Wermińska marzy na trzeźwo, bez fruwania w obłokach i melancholijnych uśmiechów.

Więc może?... Może...?

Żadna z naszych artystek nie jest aż tak Polką, jak Wanda Wermińska.

Szczęść Jej Boże!...

Janina Surynowa - Wyczółkowska.



Wanda Wermińska w partji Elżbiety w operze „Don Carlos".

ELŻBIETA BORUCKA

Wysuszyłeś mi serce....

Wysuszyłeś mi serce, że stało się pustynią.
Bez kropli ochłody ginie.
Nie może buchać tym żarem co spala
na szlachetny kruszec,
lecz piaskiem się dławi i dusi.

Był czas gdy miałam w sobie oazy słodyczy...
Tyś ich nie liczył.
Były tobie niczem...

Były chwile gdy miałam ku ochłodzie wodę,
z której twe usta młode,
spragnione, pić mogły długo...
na wieki.
I miałam balsamy i leki
na stargane wichrem i szarugą
żywota umęczone dusze.

Dziś cię nie kuszę
już mirażami złudnych krain, których nie ma.
Znikły — choć nie były fata morganą.
Pochłonęła je ziemia.

Suche badyle sterczą zamiast kwiatów,
ostre kolce wbijają mi w ciało.
To nic. Zapomnę... Nie winię cię za to
co się stało.

Niedocenione dni

Chodziło się w sukience białej
albo niebieskiej, a czasem różowej.
Czarne koty mruczały
piosnkę o starej sowie.

Psy się kładły na ganku
szukając chłodu.
Świeża woń mięty i rumianku
wiała z ogrodu.

Kasztany padały z drzewa,
rozpryskując się o kamień.
Rozleniwiony dzień ziewał
przeglądając się w stawie.

Lipy sennie drzemały
przymrużywszy oczy.
Wśród liści cicho się bawił
z wietrzyków — wietrzyk najmłodszy.

W taki dzień chodziło się ciszej,
zglądając po całym domu.
I pragnęło się wszystko usłyszeć
i komuś w czemś dopomóc.

Drażnił ten dziwny spokój
miast swoją ciszą koić.
Drażniły własne tłumione kroki
i nadmiar słońca w salonie.

Jakiś niepokój nieznany...
Przeczucie niewiadomo czego...
Niechęć do lekkich falbanek
co przeszkadzały w biegu.

I chciało się rwać coś i burzyć
by nie było już tak jak codzień.
I wyglądało się burzy
by deszcz zmył wszystko, ochłodził.

Bo nie wiedziało się jeszcze,
że kiedyś... że już niedługo
życie będzie chłostać deszczem
w walce o byle ugór.

I że trzeba będzie samej
zdobyte pole karczować.
Uprawić, zasiać i polewać łzami
by wyhodować owoc.

SZUKAM MIESZKANIA

FELJETON

Więc trudno. Doszłam po namysłach i rozważaniach do przekonania, że jednak muszę mieszkanie zmienić. Moje, owszem, jest bardzo ładne, ale na dzisiejsze czasy za duże dla mnie, niewygodne, a przytem niesłoneczne. Ponieważ bez słońca życie wydaje mi się szare i ciężkie, trzeba się rozejrzeć i znaleźć coś innego. Mam coprawda wymagania duże, bo locum chciałabym mieć słoneczne, czyste, przy spokojnej, cichej ulicy, to też zdaję sobie sprawę, że mam pomysły Nababa, zgoła niezrozumiałe dla niektórych, ale taka już jestem...

*

Zdecydowawszy się na zmianę, otworzyłam powiernika wszelkich kłopotów, „Kurjer Warszawski", i z żywem zadowoleniem stwierdziłam, że od mieszkań i to mieszkań, zupełnie odpowiadających moim marzeniom, aż się roi! Do dzieła zatem! Wypisałam sobie wszystkie adresy i telefony, poczem zaczęłam od tych ostatnich. Już po drugiej czy trzeciej rozmowie zorjentowałam się, że mieszkanie ogłoszone „właśnie zostało już wynajęte, ale jest inne, piękne, i w sam raz dla pani". Gdzie? Na Żoliborzu, na Saskiej Kępie, a dwa na Czerniakowie. Ale ja nie mogę wyprowadzić się tak daleko, bo pracuję w śródmieściu i mam syna w gimnazjum, więc o którejże godzinie musielibyśmy wybierać się stamtąd rano, np. w grudniu, i ile pochłonęłyby przejazdy!

„A jak robią inni ludzie?"

Nie wiem. Może mieszkają tam tacy, którzy raz dziennie z domu wyjeżdżają i raz doń powracają, nie mając interesów, posiedzeń, wieczornych zebrań i t. d. I może nie mają dziecka w wieku szkolnym, należącego do rozmaitych kółek klasowych.

„Aha. To pani się pofatyguje tutaj. Sie zobaczy".

Gdy szósty i siódmy telefon upewnił mnie, że mam do czynienia wyłącznie z pośrednikami, którzy nie chcą podawać bliższych danych zaocznie, poddałam się i ruszyłam na wędrówkę po „biurach". Pierwszym etapem była firma pod gramatycznie i faktycznie oryginalną nazwą „Solid". Otworzyła mi drzwi ładna panienka cała w uśmiechach i lokach.

— Czy to tutaj jest biuro „Solid", bo nigdzie nie ma napisu?

— Tutaj, pani pozwoli, — otworzyła mi drzwi do przyległego pokoju. Weszłam do olbrzymiej, pustej i ohydnie brudnej sali o dwóch oknach, pomiędzy któremi stało kulawe biurko, zalane atramentem i zawalone wszystkiem, tylko nie utensyljami biurowemi. Rozparty przed niem w foteliku siedział — jak tu powiedzieć? pan? naczelnik? kierownik? Już wiem: jegomość! — otóż siedział jegomość. Właściwie nie siedział, tylko nawpół leżał w malowniczej pozie, z rękami, zarzuconemi za głowę, z nogą założoną na nogę pod kątem prostym, w rozpiętej marynarce i rozchełstanej koszuli „Słowackiego". Nie ruszył się, słuchając moich życzeń.

— Pani zna dyrektorową Iksinowską? — rzucił nakoniec, siadając przy biurku prosto i zaczął teraz szufelkowym paznokciem u małego palca prawej ręki robić sobie manicure u lewej.

— Nie, nie znam.

— Szkoda. Onaby pani powiedziała, jakie przeze mnie ma mieszkanie. Nie chciała wziąć, ale ją zmusiłem. I dziś mi dziękuje. Dzwoni po dwa razy dziennie. A ministrową Ypsylońską pani zna?

— Nie. Wogóle nie wiedziałam, że taka była.

— Co znaczy „była"? Jak ja pani mówię, że jest, to pani mnie może wierzyć! Niech ją pani zapyta. Posłyszy pani, co ona o mnie mówi. „Panie Zygmoncie", powiedziała wczoraj, „ja dla pana wszystko zrobię za to, że pan mi dał takie mieszkanie". — Mam trzy pokoje na Gorzkiej; łazienka, wszystkie wygody, słońce, cicho — cudo nie życie. Ale trzeba brać już! Niedrogo: 180 miesięcznie całego kramu.

— To doskonale! Kiedy można je obejrzeć?

— O-bej-rzeć?! Jak ja pani mówię, że pani może wziąć, to nawet niema po co chodzić. Właściwie, owszem, można zobaczyć, ale szkoda drogi, bo pani i tak jego nie weźmie.

— Dlaczego? Skąd pan wie?

— Już ja widzę, że pani trudna klejentka. Ale to nic: tu był u mnie generał Ciamski, to miał takie wymagania, że nie wiem, a wyszedł zadowolony, jakby znalazł miljon. Chce pani cztery pokoje na Smutnej?

— Owszem. Wzięłabym cztery o ileby warunki były dostępne.

— Warunki to mniejsza. Warunki się zrobi. Ale tam nie ma łazienki.

— Bez łazienki mieszkania nie wezmę.

— No, właśnie: przecież mówię, że z panią będzie trudno. Innych nie mam. Pani wpłaci wpisowe 10 złotych, poda telefon, a jak będzie, to zadzwonię.

— Możebyśmy zrobili inaczej: pan znajdzie mi mieszkanie, a wtedy chętnie zapłacę za pośrednictwo.

— Co takiego?! To ja dla pani będę latał po mieście, a potem pani będzie grymasiła, że bez łazienki nie może?! Nie, taki już jestem, że u mnie albo-albo!

— Trudno. Postanowiłam, że inaczej postępować nie będę.

— A to sobie pani postanawiaj, ale nie ze mną. Dowidzenia się z panią. Jak pani się namyśli, to pogadamy.

Wyszłam czemprędzej, przeprowadzona wzrokiem bazyliszka.

O trzy ulice dalej również ogłaszał się pośrednik. Ten był inny. Mieszkań miał napodorędziu, ile dusza zapragnie: na każdej ulicy, w każdej cenie i według wszystkich moich wymagań, które spokojnie określił jako „zwyczajne u każdego klienta". Ale na koszta musi mieć pieniądze, a wtedy, owszem, z całą energją zajmie się specjalnie moją sprawą. Wyglądał na człowieka prostego, miłego i nie wyzyskiwacza, więc dałam mu pięć złotych i... nigdy później go już nie zobaczyłam.

Inaczej powiodło mi się z pewnym bardzo urodziwym młodzianem, który przedstawił mi się jako student, dorabiający sobie na czesne. Roztkliwiłam się: mój Boże, biedaczyna, jak to sobie dziś ta młodzież musi radzić! Objechałam z nim kolejno cztery mieszkania: w jednem nikt o niczem nie wiedział i mój towarzysz długo coś tłumaczył i przepraszał; w drugiem nawymyślano nam obojgu, że „przecież pośredników wyraźnie nie chcą"; w trzeciem okazało się, że wynajęto je przed dwoma tygodniami; do czwartego nie mogliśmy się dodzwonić.

Potem przyszła kolej na pośredniczki. Pierwsza opowiedziała mi w drodze do proponowanych lokali wszystkie swe życiowe perypetje z mężem, teściową i dziećmi; druga obraziła się, kiedy jej powiedziałam, że mieszkanie mi nie odpowiada; trzecia dzwoniła do mnie co kilka godzin, żeby sprawdzić, czy przypadkiem bez niej nie zakończyłam pertraktacyj.

— Podobno jakiś pośrednik dał mieszkanie Loli? Chciałabym wiedzieć jego adres. — pożaliłam się znajomej w cukierni.

Moja towarzyszka zachłysnęła się kawą i czemprędzej postawiła filiżankę na stole.

— Co ci się stało? Sparzyłaś się? — pośpieszyłam z pomocą.

— Nie... Ale... Ojoj, to ty nie wiesz, jak ten łajdak urządził Lolę?

— Cóż się stało?

— Namówił ją, żeby odstąpiła swój lokal, bo „nadarzyła się okazja". a on jej w każdej chwili da mieszkanie, jakiego potrzebuje, Lola uwierzyła i... mieszka teraz w hotelu, bo nie ma się gdzie podziać.

— Ależ... jak to się stało?! Dlaczego na to nie zareaguje?

— Jak ma zareagować? Mówisz, jak dzieciak: przecież handel mieszkaniami jest prawnie zabroniony. Więc kto się do pośredników sam zwraca, rozumiesz...?

Ścierpłam: przecież i ja się „zwróciłam"! Ale czy to moja wina, że właścicieli mieszkań, którzyby sami chcieli się swym lokalem zająć, prawie niema?

Nazajutrz po tej rozmowie zadzwoniłam pod nowy numer, który znalazłam w „Kurjerze" i zgóry zapowiedziałam, że na żadne chodzenie do biur, wpłacanie zgóry kosztów i t. p. nie zgadzam się: jeżeli pan chce mi pośredniczyć, to proszę, ale bez zobowiązań z mojej strony. Gdy podałam mu nazwisko i adres, usłyszałam w odpowiedzi:

— Ja już o pani wiem: pani jest ta klientka, co chce i dobrze i tanio. Takich mieszkań nie ma.

To mnie nie odstraszyło. Miałam podany przez znajomych jeszcze jeden adres i to bardzo zakonspirowany. Poszłam i wyłuszczyłam moją sprawę, nie przedstawiając się zgóry i nie wymieniając adresu.

— Owszem, mamy taki lokal, — pośpieszył mój rozmówca z odpowiedzią. — Piękny, wygodny, słoneczny, tani, może być od zaraz. Ta pani umarła i rodzina chce się go pozbyć.

— Niechże pan odrazu tam ze mną pójdzie. Zna pan adres dokładnie?

— Owszem: Pogodna 47 mieszkania 2.

— Cooo takiego?! Przecież to moje, dotychczasowe!! Ludzie, ratujcie mnie!

— — — — — — — — —

Nie, nie potrzeba: przecież już umarłam!!

*

Więc, proszę państwa, szukam nadal mieszkania...

Zofja Petersowa

TAKA SOBIE HISTORYJKA

Radość Jana nie miała granic. — Udało mu się znaleźć mieszkanie bez odstępnego, i to z małym balkonikiem na... piątem piętrze. Stał właśnie na swoim balkonie i mimowoli zwrócił uwagę na balkon sąsiedni, zawieszony tuż obok. Okna zasłonięte były taniemi firankami.

— Ciekawe kto tam mieszka?

Nie czekał jednak długo i w pewnej chwili drzwi balkonu otworzyły się szybko, a na balkon wbiegła panienka o zwichrzonej czuprynie i niebieskich oczach. Lekki okrzyk wyrwał się z ust Jana. Ona — obejrzała się szybko i natychmiast cofnęła się do wewnątrz. Czyż mogła inaczej postąpić kobieta z nieuczesaną głową. Nie! Ale pan Jan tego nie zrozumiał i miał żal do niej i do siebie, że ją spłoszył.

Zasmucony wrócił do mieszkania i systematycznie, a jednocześnie z zapałem zabrał się do zakładania odbiornika radjowego. który towarzyszył mu we wszystkich dotychczasowych jego mieszkaniach.

Nazajutrz jednak postanowił rozpocząć „atak". Nieznajoma zaintrygowała go. Zaraz zrana posłał jej róże. Nie przyjęła. I tegoż wieczora znalazł je na... swoim balkonie.

— Ho ho, pokręcił głową, więc aż tak bardzo gniewać się potrafi? Jednakże czatował przy oknie. a gdy tylko usłyszał, że drzwi od upragnionego balkonu otwierają się. wybiegł na swój, jak go zwał w myślach „taras" i wypatrywał zjawiska. Kilka razy powiedział jej dobry wieczór. Kilka razy spojrzał i napotkał jej spojrzenie zimne i niewzruszone. Mijał tak dzień po dniu, a Jan ciągle siedział na balkonie sam, albo też słuchał radja. Aż pewnego dnia zauważył coś, co dotąd uszło jego uwagi. Przez uchylone drzwi dojrzał odbiornik radjowy!!!

— Tam do licha! — Jest radjoamatorką! A przecież radjoamatorzy wszystkich krajów łączą się we wspólnych uczuciach! Znalazłem! Znalazłem drogę!

Wieczorem znowuż czatował na balkonie. Ledwie się ukazała ukłonił się. Nie oddała ukłonu.

— Jak się pani podobała wczorajsza audycja?

Milczenie.

— Czy szanowna pani ma odbiór zupełnie wyraźny?

Milczenie.

— Mój Boże, nie rozumiem zupełnie, czego się pani gniewa. Raczej powinna pani czuć do mnie pewną, no .. powiedzmy sympatję. Łączą nas przecież... anteny.

— Pan jest nieznośny, rzekła prawie podniesionym głosem. trzasnęła drzwiami i weszła do mieszkania. Jan uczynił to samo. Zrozpaczony zasiadł przy swoim aparacie radjowym i wkrótce zatonął w walcach Straussa płynących z głośnika. Słuchał już dość długo, gdy nagle brzęk otwieranych drzwi sąsiedniego balkonu wyrwał go z zamyślenia. Następnie wołanie:

— Proszę pana! proszę pana!

Nie nie myli się to Ona go woła! Jednym skokiem znalazł się na balkonie.

— Co się stało?

— Pan ma radjo, tak? — zagadnęła krótko.

— Ależ tak, naturalnie.

— I słyszy pan w tej chwili dobrze?

— Jaknajlepiej!

— Widzi Pan! A u mnie zupełnie jak na złość, odkąd się pan sprowadził — wszystko się w radjo psuje. I dziś właśnie nadawano taki cudny koncert... tak kocham Straussa i znowuż coś się posuło... i nic nie słychać.

— Teraz lub nigdy — pomyślał Jan i zaczął napozór spokojnie: —Gdyby pani pozwoliła mógłbym obejrzeć aparat... znam się na tem dobrze... Jestem na Politechnice i wogóle jestem specem od naprawiania odbiorników.

Odpowiedziało mu nieufne spojrzenie.

— Proszę mi wierzyć... ja naprawdę bardzo dobrze znam się na aparatach.

Spojrzenie łagodniejsze:

— Więc proszę. niech pan wstąpi, ale tylko na chwilę... i wogóle... proszę sobie nic nie myśleć.

Lotem strzały Jan znalazł się w pokoju sąsiadki.

Wkrótce aparat został naprawiony i... stosunki towarzyskie także.

Dalszy ciąg tej historji wiadomy. Ona i on. Młodość. Dwa balkony tak blisko siebie umieszczone. złote nitki anten, które ich połączyły i — miłość.

Reklama dla kobiet

Smutnie i szaro wygląda reklama europejska przy swojej amerykańskiej siostrzycy.

Gdyby jakiemuś malarzowi przyszedł pomysł symbolicznego przedstawienia obu władczyń handlu: starego i nowego świata, z pewnością rolę amerykańskiej kreowałaby piękna „lady", strojna we wspaniałe, bogate szaty, podczas gdy jej towarzyszka zadowolniłaby się skromną rolą małej urzędniczki, która ze względów oszczędnościowych kopjuje nieudolnie, z pomocą taniej karwcowej, urocze suknie rywalki.

Coby jednak było gdyby ów artysta poszedł w swych pomysłach dalej i zapragnął przedstawić przy matce Europie liczny zastęp jej dzieci — reklam poszczególnych państw starego świata? Jakie stanowisko przypadłoby w udziale naszej ojczyźnie? Nie łudźmy się, rolę Polski grałby napewno jakiś nieznośny bąk, zastojem i opóźnionym rozwojem jaskrawo odcinający się od swego dorastającego rodzeństwa — Anglji, Francji i Niemiec.

Nie będę wymieniała wszystkich błędów popełnianych przez naszą reklamę. Ograniczę się tylko podkreśleniem czołowej wady, która stała się jedną z najważniejszych przyczyn jej długiego i przymusowego niemowlęctwa. Młodziutka reklama polska potraktowała po macoszemu publiczność i... klientelę kobiecą.

Nie występuję tutaj w obronie haseł feministycznych. Przeciwnie. Zarzucam reklamie, że za bardzo przejęła się zasadami równouprawnienia, zapominając o wielkiej różnicy, która oddziela psychikę męską od kobiecej. Ten sam błąd popełniały ongiś reklamy: francuska i niemiecka, ale prędko zawróciły z drogi, wiodącej na manowce.

Już w roku 1912 ukazywały się w prasie niemieckiej artykuły, napominające fachowców reklamy. Autorka jednego z nich, Stella Georg Aern, z oburzeniem pisze o karygodnej ignorancji psychologji klienteli żeńskiej, którą odznaczała się reklama germańska. Jako przykład podaje ogłoszenie o gorsecie, którego rysunek przedstawiał żelazny łańcuch, a tekst zajewniał, że *owa sznurówka jest niemniej trwałą od tych kajdanów*. „I ogłoszenie to, oburza się Stella Aern, miało przemówić do wyobraźni kobiet, zachęcić do kupna strojnisie niemieckie, troszczące się o piękną linję!!"

Schylmy ze skruchą głowy i przyznajmy, że prawie każde pismo pol-



skie jest siedliskiem mieszczącem na swoich łamach takie ogłoszenia, hybiające celu!

„Reklama jest sprzedażą towaru, zapomocą druku, większej masie ludzi naraz" — mówi Starch *), znany psycholog reklamy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Każdy kupiec przed aktem sprzedaży musi dokładnie zbadać, czy towar jego odpowiada rynkowi i klienteli, do której się zwraca. Reklama polska w większości wypadków pogardziła tą ważną i niezbędną „chwilą kupieckiej rozwagi" i przeskoczywszy ją lekkomyślnie zabrała się do dalszej pracy. Skok ten wyszedł jej tylko na złe, o tem najlepiej mówią same fakty!

Najpierw trzeba sprostować pewne przekonanie, głęboko zakorzenione na naszym rynku, *jakoby klientela kobieca brała znikomy* udział w życiu handlowem.

Zestawienie klienteli kobiecej z artykułami żywnościowemi i odzieżowemi jedynie, jest anachronizmem, który przyjąć należy z uśmieszkiem politowania, jak wynurzenia osoby wyrabiającej sobie pojęcie o Wiedniu i Budapeszcie na podstawie walców i orkiesty cygańskiej.

Zupełnie inną maksymę wyznaje w dzisiejszych czasach fachowiec nowego świata, trzymający czujną dłoń na pulsie wymiany towarowej. „Kobieta jest ośrodkiem handlu detalicznego" — głosi urbi et orbi i na potwierdzenie swojego zdania posiada broń potężną, mogącą przekonać nawet największego laika, a mianowicie cyfry i statystyki. Znany amerykański psycholog, Hollingsworth **), przeprowadził ciekawe badania udziału, jaki przypada kobietom i mężczyznom w zakupywaniu przedmiotów codziennego użytku. Co mówią cyfry? Oto, że towary, których zakup jest wyłącznym przywilejem kobiety, nieomal 5 razy ilościowo przekraczają te, które wyłącznie kupuje mężczyzna.

Badania amerykańskiego psychologa wykazują np., że jedynym przedmiotem z garderoby męskiej, kupowanym wyłącznie przez mężczyzn są... kołnierzyki. Nawet obuwie i kapelusze w 20% kupuje wyłącznie płeć piękna. Kobiety kupują jedenaście razy więcej artykułów, należących do garderoby męskiej, niż mężczyźni towarów z konfekcji damskiej.

Zakup niektórych towarów, jak np. koronek, nici, naczyń kuchennych, kosmetyków stanowią pole dostępne jedynie dla świata kobiecego. Kupowanie mebli w większości wypadków załatwiają kobiety, które samodzielnie nabywają w 48%, podczas gdy mężczyźni zakupują sami tylko w 4%.

Dlatego też wytrawny fachowiec w U. S. A. bynajmniej nie lekceważy klienteli kobiecej i stara się ją pozyskać odpowiednią reklamą. Z tej samej przyczyny nie traktują prasy kobiecej „jak ubogiej krewnej" i w jej ramach pojawiają się ogłoszenia nietylko jak u nas z dziedziny mody i kosmetyki, ale i reklamujące przedmioty, przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn. Kupiec amerykański, reklamując się, jest bowiem pewny, że w kole czytelniczek kobiecego pisma znajdują się żony, matki, córki, siostry, które swoim najbliższym kupią w prezencie te przedmioty.

Polska prasa kobieca jest o wiele skromniejszą od swoich sąsiadek europejskich, nie mówiąc już o pismach w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jednak, pomimo nieco uboższej szaty zewnętrznej, jest potęgą w swoim rodzaju i jako taka przedstawia wdzięczne, a jeszcze niewyzyskane, pole dla reklamy.

Hanna Muszyńska

*) Starch Daniel. Principles of Advertising.

**) Hollingsworth Harry. Advertising and Sellink.

Co może zdziałać Izba Handlowa?

W artykule p. t. „Kto pójdzie z nami" (Tygodnik Kobiety Nr. 15) p. Stefanja Heymanowa m. i. pisze:

„Dlaczego małe miasto nie ma mieć swoich specjalnych uroków i odrębności, którychby mu właśnie zazdrościła nawet — stolica? W Niemczech i w Szwajcarji, we Francji i w Anglji są setki małych miasteczek, których mieszkańcy nietylko nie uważają się za upośledzonych, ale są pewni, że każde z tych miast godne jest gwiazdki w Baedekerze... Bo ludzie ci naprawdę kochają to swoje miasteczko i starają się je w miarę możności upiększyć i podnieść, ażeby im samym było tam żyć jaknajmilej. To też jeżeli zabłąka się tam jakiś turysta „z wielkiego szlaku", wszędzie znajdzie przyzwoity hotel..." i t d.

Artykuł ten przypomina mi przeczytaną niedawno książkę p. H. N. Cassona, znanego eksperta w dziedzinie organizacji, p. t. „What a Chamber of Commerce can do". P. Casson, który przez czas dłuższy badał działalność Izb Handlowych na terenie miast angielskich i amerykańskich, zebrał szereg ciekawych faktów i obserwacyj, i sądzę, że zainteresują one te czytelniczki, w sercu których znajduje oddźwięk inicjatywa pp. Kuszelewskiej i Heymanowej. Przytaczam je poniżej w skrócie.

Nic nie może wpłynąć na rozwój miasta równie skutecznie, jak umiejętna działalność Izby Handlowej, i żadne miasto nie może obejść się bez pomocy Izby Handlowej. Rada Miejska ma zbyt wiele rozmaitych zadań i potrzebuje pomocy Izby.

W każdem mieście jest pewna ilość osób uspołecznionych. Jedynem miejscem, w którem mogą ogniskować się ich usiłowania, mające za cel dobro ich miasta, jest Izba Handlowa.

Mieszkańcy jednego miasta mają wiele wspólnych interesów. Nie powinni żyć wyłącznie dla siebie samych i pozostawiać interesów miasta wyłącznie w rękach przeciążonej zazwyczaj pracą Rady Miejskiej.

Gdy miasto nie posiada mocnej organizacji centralnej, jaką może być Izba Handlowa, staje się martwe. Jego rozwój nie ma się na czem oprzeć.

Stwierdzono, że w miastach angielskich, w których zaludnienie z biegiem czasu się zmniejszało, istniały słabo zorganizowane Izby Handlowe.

Gdy miasto zatrzymuje się w swym rozwoju, ludność wpada w apatję. W następstwie mieszkańcy przenoszą się gdzieindziej. Ze strony państwa nie można oczekiwać pomocy dla miast martwych, które same nie umieją sobie poradzić.

Dla rozwoju miasta koniecznem jest, aby działało, jako całość, jako „firma". Musi dbać o dobrobyt, musi starać się o klientów.

Izba Hadlowa jest jedyną instytucją, która może uczynić dla swego miasta, co następuje:

1) Sporządzić inwentarz wszystkich wartości miasta.

2) Ułożyć plan i program działalności w kierunku rozwoju miasta,

3) Propagować walory miasta,

4) Spowodować ulepszenia,

5) Nakłaniać obywateli do ulepszania swych własności,

6) Zdobywać pieniądze na cele publiczne,

7) Zapobiegać niewłaściwej działalności Rady Miejskiej,

8) Stworzyć dążenie do postępu i propagować ambicję społeczną, optymizm i patrjotyzm.

W pierwszym rzędzie należy organizować zebrania. Na zebraniach takich należy mówić o wspólnych potrzebach i zbierać potrzebne fundusze. Pisma mogą oddawać w tym względzie wielkie usługi a Izba Handlowa powinna zapraszać reporterów na zebrania.

Izba Handlowa musi orjentować sie w tem, czego miastu najbardziej potrzeba.

Każdy walor specjalny miasta winien być wyzyskany w indywidualny sposób.

Podobnie, jak fabrykant musi mieć katalog, miasto musi posiadać swą księgę, a to zarówno dla wykształcenia swych obywateli, jak i dla propagandy. Księgi takie są zwykle pisane przez mężczyzn i dla mężczyzn. Powinny być uzupełnione broszurkami, pisanemi przez kobiety i dla kobiet. Powinny opisywać miasto z kobiecego punktu widzenia, zawierać ilustracje, któreby interesowały specjalnie kobiety i dzieci. Księga taka nadaje prestige miastu. Według zdania p. Cassona, powinna należeć do podręczników szkolnych. „Wydawało mi się zawsze szczególnem", mówi autor, „że dzieci nasze nabywają tyle wiadomości o obcych krajach i o zamierzchłej przeszłości, a nikt ich nie uczy cenić miasta, w którem mieszkają".

Jeżeli miasto ma się *rozwijać*, musi się nauczyć *sprzedawać*. Ma na sprzedaż grunty, domy, towary, pracę. Musi się uczyć zasad sprzedaży i propagandy.

Każda nowa rodzina zwiększa wartość miasta. Każdy przybysz, zwiedzający miasto, oznacza korzyść dla sklepów. Dlatego jednem z zadań Izby Handlowej jest przyciągnąć jaknajwiększą ilość zwiedzających.

Miasto powinno starać się rozszerzyć swe terytorjum. Zgodnie z prawem ciążenia, im większa jest masa materji, tem więcej przyciąga. Im miasto jest mniejsze, tem więcej potrzebuje propagandy, aby przeciwdziałać ciążeniu wielkich miast.

Pieniądze, znajdujące się w obiegu wewnętrznym miasta, to jest przechodzące z rąk jednego do rąk drugiego mieszkańca, nie wzbogacają miasta jako takiego. Miasto musi przyciągnąć pieniądze *zzewnątrz*. Wysyła ono codzień pieniądze nazewnątrz i musi otrzymywać je spowrotem zzewnątrz.

Dowiedzionem jest, że miasto może zwiększyć swe zaludnienie przez ogłaszanie się, które czyni miasto znanem. Jako przykład p. Casson podaje dzieje miast angielskich Letchworth i Welwyn.

Izba Handlowa sama nie rozporządza znaczniejszemi funduszami, może je jednak zdobyć. Należy także starać się o kapitały zagraniczne dla budowania fabryk — może to uczynić tylko Izba Handlowa. Przedewszystkiem musi opracować dokładne plany. Gdy przedsiębiorca otrzyma dokładne plany i przekona się, że miasto jest zorganizowane, będzie bardziej skłonny do zainteresowania się przedłożonym mu projektem.

Oprócz zebrań konieczne są Targi i Wystawy. W miastach amerykańskich Izby Handlowe angażują specjalistów, pobierających wysokie wynagrodzenie, którzy zajmują się specjalnie zebraniami i wystawami.

Wielkie znaczenie mają dogodne środki komunikacji. Jeżeli miasto nie ma dobrej komunikacji, musi domagać się jej — za pośrednictwem Izby Handlowej.

Rada Miejska musi współpracować z Izbą Handlową. Ta ostatnia może mieć najlepsze pomysły, ale dopiero Rada Miejska wprowadza je w życie.

„Ryzykuję twierdzenie, pisze p. Casson, że każda Rada Miejska prowadziłaby skuteczniej interesy miasta, gdyby otrzymywała więcej pomocy, a mniej krytyki".

Dalej p. Casson kładzie nacisk na konieczność zwalczania pesymizmu i apatji. Jeżeli kierunek taki nie powstaje, pesymiści mnożą się, mówi, jak chwasty w zaniedbanym ogrodzie. Ażeby zwalczyć wpływ pesymistów, należy współdziałać z Izbą Handlową w dążeniu do podniesienia dobrobytu miasta.

Każdy obywatel powinien mieć sentyment dla swego miasta rodzinnego. Jest to przecież miejsce, w którem spędza on swe życie. Jego interesy związane są bezpośrednio z interesami miasta. Ambicją obywateli powinno być przyczynianie się do podniesienia poziomu kulturalnego ich miasta. Mają doskonałe pole działania — współpracę z Izbą Handlową. Mogą stać się budowniczymi swego miasta.

„Miasto wasze to spadek, — konkluduje p. Casson, — otrzymany przez was. Setki lat ludzie pracowali i planowali i zużywali swe siły na stworzenie tego miasta. Jest to część waszej ojczyzny.

Współdziałajcie w budowaniu silnej, aktywnej, optymistycznej Izby Handlowej. Wasze miasto może się rozrosnąć i wsławić się. Nie może się to jednak stać bez współpracy ludzi energicznych i dobrej woli".

Z oryginału angielskiego streściła

Eugenja Dziewulska

PUNKT CIĘŻKOŚCI

Punkt ciężkości poprawnego i estetycznego wyglądu polega w pierwszej linji na dostosowaniu ubrania do pory dnia, otoczenia, środowiska, na umiarze współżycia z modą, której nigdy nie należy przejaskrawiać.

Godziny ranne — godziny spacerów, załatwiania sprawunków i interesów, godziny pracy, wymagają najdalej posuniętej, wytwornej prostoty.

Suknia i płaszczyk, kostjum, albo komplet z płótna ożywione barwnym paskiem, kolorową kokardą, guzikami, albo dyskretnym haftem, wystarczą całkowicie na godziny ranne i wczesne popołudniowe.

Płócienna moda ma swój specjalny szyk — szyk polegający przedewszystkiem na prostocie linji, na wstrzemięźliwości dodatków, na zachowaniu charakteru, który łatwo spaczyć, nie wczuwając się w całokształt tej wysoce charakterystycznej mody.

Wychodząc z zaczarowanego kręgu błękitnookiego lnu, zwróćmy uwagę na śliczny ranny komplet spacerowy złożony z jasnej bluzeczki jedwabnej, wełnianej spódniczki i luźnego, również jasnego płaszczyka z lekkiej wełny. Krawat w kolorze spódniczki związany na sutą kokardę, miękki filc, jasna pończoszka i wygodny sportowy pantofel będą równie wytworną całością, jak komplet z płótna.





A gdy wybije godzina zachodu słońca, kiedy lokale miast, miejscowości kuracyjnych, klimatycznych, nadmorskie kąpieliska zalśnią tysiącami sztucznych świateł, sięgnijmy do wnętrza naszych szaf i kufrów po zwiewne, wytworne, sięgające do ziemi suknie, zasługujące już na miano „X tualet". Ożywione barwnemi, kwietnemi wzorami, rzuconemi dyskretnie na jednokolorowe tło, wymagają również wytwornych okryć, czy zarzutek.

Letnie okrycie wieczorowe z przezroczystej żorżety, z jedwabnego woalu, z ciemnego, nieprzezroczystego, a jednak lekkiego jedwabiu zdobionego szlakiem misternego haftu oto ostatni krzyk letniego sezonu.

X

MĄDRZY GOSPODARZE



Mądrym gospodarzem jest nietylko ten, kto potrafi utrzymać to, co mu ojcowie przekazali, ale przedewszystkiem ten, kto pracowitością, zabiegliwością, obrotnością umie dobro swoje powiększyć.

Zrozumiał to gospodarz małorolny z Kudzynia koło Sokółki w województwie Białostockim, p. Michał Kułak i kupił, razem z synem swoim, Zygmuntem, ćwiartkę losu Nr. 30.957 na Państwową Loterję Klasową. W pierwszych trzech klasach jakoś nic na ten los nie wypadło, aż oto w klasie czwartej trzydziestej piątej Loterji, w maju roku bieżącego, na Nr. 30.957 padła wygrana sto tysięcy złotych. Ojciec i syn otrzymali za swoją ćwiartkę do ręki gotowizną dwadzieścia tysięcy złotych.

Tak oto dzięki zabiegliwości i obrotności Michał Kułak i syn jego, Zygmunt, należą dziś do najzamożniejszych gospodarzy nietylko w Kudzyniu, ale i w okolicy.

Są to zatem mądrzy gospodarze i pewnie nieraz się im jeszcze w życiu poszczęści. A takim mądrym może być wszak każdy; kolektury rozsiane są przecież po całym kraju, nic więc łatwiejszego jak nabyć los.

Właśnie teraz przed pierwszą klasą trzydziestej szóstej Loterji nadarza się dobra sposobność. Tylko trzeba się spieszyć, bo ciągnienie rozpoczyna się już 18-go czerwca.

Uśmiech dzisiejszych czasów

Niema tak silnego człowieka, któryby potrafiłby powstrzymać tłumy w szaleńczym, zgubnym pędzie dni dzisiejszych. Już niewielu jest tych, stojących naprzeciw fali ludzkiej i wołających rozpacznym głosem:

— Ludzie! Stójcie! Dokąd pędzicie? Co was czeka na końcu waszej drogi? Czy warto tak gnać w obłąkańczym zaprzęgu, by po kilkudziesięciu latach dopaść wreszcie trumny i zrobić miejsce w tłumie, drugiemu, który jeszcze szybciej i bezmyślniej mknąć będzie codzień kolejką podziemną do fabryki i w jeszcze lepszem, niewolniczem tempie przykręcać śruby na płytach stalowych? Zagubiliście skarb największy: cel życia waszego!

Ten krzyk zagłuszony zostaje hukiem wspaniałych, z dniem każdym doskonalszych maszyn fabrycznych a fala ludzka albo porywa wołających dziwaków ze sobą i odbiera im siły do walki z prądem, albo zadeptuje ich niepokojące, buntownicze słowa.

Poszczególny człowiek staje się zbędny i niepotrzebny. Ważny jest tłum, masa posłusznych istot, spełniających bez protestu rozkazy fanatyków postępu. Szemraniu tłumu odpowiada salwa karabinowa, a porzucony na środku jezdni, kulą przedziurawiony transparent i nieruchome ciało tego, który nie zdążył już schronić się pod mur, sprawiają, że słabną ręce, zrozumienie tragicznej bezsilności wypełnia czaszkę, a serce zalewa gorycz.

Ciemne zwały chmur kłębią się na niebiosach, w które patrzy wyczekująco mały, nikomu niepotrzebny człowiek dzisiejszych czasów — Charlie. Jego system bezplanowego życia okazuje się wreszcie słusznym. Takim samym przypadkiem jak spadały nań wszystkie klęski i niepowodzenia, przychodzi do niego szczęście. Bo szczęściem jest odnalezienie w tłumie serca życzliwego, odnalezienie drugiej, podobnie zbędnej i słabej istoty, z którą w podmiejskiej, walącej się ruderze snuć można wizję własnego domu i dobrobytu, opromienioną dobrym, kobiecym uśmiechem.

Trzeba nam uczyć się od tej dziewczyny ulicy jak mamy same żyć i ułatwiać mężczyźnie przetrwanie dzisiejszych czasów. Kobieta w filmie Chaplina stała się uśmiechem jasnym, napełniającym otuchą i nadzieją wątpiące serca ludzkie. Podczas gdy dawniej krótki wybuch śmiechu, wywołany koniecznym efektem zmieniał się momentalnie w bolesny skurcz krtani, a ekran mętniał za mgłą naszych łez, w nowym filmie Charliego upajamy się każdym radosnym blaskiem w dziejach tych dwojga włóczęgów i serca nam cierpną w chwili, gdy straszliwy los chce znów rozerwać dwie istoty, które po długiej samotnej wędrówce wśród tłumu ludzi i hałasu nowoczesnych maszyn przeznaczenie istnienia swego wreszcie odnalazły i wartość życia poznały.

Bądźmy podobne do kobiety z filmu Chaplina: starajmy się iść ramię przy ramieniu, towarzyszyć mężczyźnie wytrwale, radować się z nim gdy ma pracę, — dzielnie dotrzymać kroku na drodze życia gdy straci podstawę egzystencji. Wtedy ważniejszą jeszcze staje się nasza rola. Pamiętać musimy, że najwyższym ideałem kobiety jest t o w a r z y s z k a, — niezłomna i kochająca.

Jest nas wiele; może wspólny wysiłek serc naszych i uśmiechów przebije ciemność nad nami i zaświta nadzieja słonecznego jutra. A mając już wytknięty jasny cel naszego istnienia, utrzymamy się jakoś na pienistej fali życia i nie porwą nas na dno przerażające, szalone wiry dzisiejszych czasów.

Romana Buzkówna

GOŚCIE PENSJONATOWI

Tanie ceny pobierane przez pensjonaty po dworach wiejskich są skalkulowane na podstawie spożycia na miejscu produktów własnego gospodarstwa. Wszystkie pensjonaty używające produktów kupnych liczą dużo wyższe ceny pobytu swoim gościom. Tej różnicy jednak większość gości zrozumieć nie chce.

Więc w początkach czerwca w przeciętnym dworze wiejskim jest już dużo sałaty, codziennie świeże rzodkiewki, czasem ogórek do chłodnika, koperek i szczypiorek. Są to produkty z niedużych inspektów, pozatem jest jeszcze trochę szparagów, obfitość szpinaku i szczawiu.

Pani X. umówiła się na razie po 3 złote dziennie, następnie do swego pokoju sprowadziła dwie kuzynki i wytargowała się na dwa złote pięćdziesiąt od osoby. Jedna z pań jeździ codziennie do biura i przywozi również codziennie następujące wiadomości: „w Warszawie już nikt nie je innych kartofli, jak tylko świeże", — „widziałam takie masy karotki, kalarepki, a tu nam dają tylko te jarzyny, co już były w maju", — „kalafiory staniały, spore główki widziałam po 80 groszy, mniejsze nawet po 70 gr." — „A w Warszawie jest masa truskawek, talerzyk takich ładnych truskawek, ułożonych na zielonych listkach kosztuje „tylko" dwa złote", — „u Antoniostwa, na imieninach podali duży półmisek kurcząt w majonezie" i t. p.

Pani domu czerwieni się i blednie. Goście niechętnie spoglądają na wyborną pieczeń cielęcą i omlet ze szpinakiem, z pogardą na sałatę obficie polaną najwyborniejszą śmietaną i krzywią się na naleśniki z konfiturami. Przed paru minutami wszystko to im wybornie smakowało.

Nakoniec dojrzały truskawki. podają je codzień i na obiad i na podwieczorek. Gościnni gospodarze nie bronią uszczknięcia trochę owocu w czasie przechadzki po ogrodzie. „W Warszawie już widziałam czereśnie, takie ładne, czarne, czerwone i białe". Dojrzały czereśnie: „Od tygodnia koleżanki przynoszą do biura maliny, a Zosia to nawet dwa razy morele jadła".

Podrosły kurczęta. Podają je dwa razy na tydzień: we czwartki w potrawce, w niedzielę pieczone, z nadzieniem, ze śmietaną.

„U mojej ciotki Y. to latem codziennie są kurczęta i to albo smażone, po wiedeńsku, z cytryną, albo w majonezie".

I tak wkoło Wojtek.

Najciekawsze jest to, że wszystkie trzy letniczki, urzędniczki w prywatnem biurze, stale się stołują w skromnej jadłodajni, gdzie przez całą jesień, zimę i wiosnę mają codziennie do wyboru sztukę mięsa i kotlety siekane (kotlet wieprzowy lub pieczeń duszona za oddzielną dopłatą), a z jarzyn: kartofle, marchew, buraki, białą fasolę i makaron, coprawda w tak dużej ilości, że zawsze spadają z brzegów przepełnionego talerza. Desery do wyboru: jesienią kompot ze śliwek lub jabłek, zimą kisielek żórawinowy, wiosną znów kompot z rabarbarum—a zawsze „ciastko cukiernicze" lub herbatę z cytryną!!"

Pensjonat wysokogórski. Dostawa produktów utrudniona; właścicielki robią co mogą, aby zadowolnić gusty i apetyty gości. Ogół ich jest bardzo z pobytu zadowolony. Przyjeżdża jakaś skwaszona panna, w niedającym się bliżej określić wieku. Zajmuje najtańszy pokój, wytargowuje się do ostatka o warunki utrzymania, gdyż rzekomo oprócz mleka i odrobiny mięsa nic nie jada. Zrana żąda kakao, o 10-tej dodatkowo mleka i paru jaj na miękko. bo jest osłabiona, przy obiedzie oświadcza, że nie może jeść sznycla cielęcego, gdyż jest smażony na szmalcu. (Za żadne skarby w całem miasteczku kilograma szmalcu się nie dostanie — a masło jest za bezcen). Przy podwieczorku oznajmia, że malin nie jada, bo zawsze są w nich robaki. Przy kolacji pyta jak często tu podają pstrągi — bo przecież są blisko górskie potoki.

Niezadowolenie jest rzeczą zaraźliwą. Dotąd, zawsze rozpromienieni goście, zaczynają szukać dziury w całem, humory się psują, koszty rosną i t. d. i t. d.

Przyjeżdża cała rodzina. Papa, Mama i dwóch synków w wieku lat dziesięciu do dwunastu. „Panie ogłosiły, że dzieci płacą połowę!" „Tak dzieci w wieku lat od trzech do sześciu. Takie co niedużo jedzą. Ci kawalerowie mają napewno lepsze apetyty od dorosłych!" Jednak wobec tego, że cała rodzina zajmuje tylko jeden pokój, coprawda duży i z alkową, ale jeden, chłopcy zostają przyjęci za pół ceny. Śniadanie ma się składać z kawy lub mleka, chleba, bułek, masła i miodu, lub jaj, czy wędliny. Następnego ranka goście, którzy przychodzą około 9-tej na śniadanie, znajdują stół dwunastoosobowy ogołocony ze wszystkich artykułów śniadaniowych. Młodzieńcy przywykli do rannego wstawania z racji szkoły, pożarli pieczywo, masło, szynkę, jaja, miód i wypili po trzy szklanki mleka z cukrem!

O ogórki bardzo trudno, więc sałatę podaje się tylko przybraną ogórkami. Talerzyki z sałatą są ustawione przy nakryciach, żeby usprawnić podawanie obiadu. Przy jednym ze stołów (na 20 osób każdy) okazuje się, że ogórki i śmietana z talerzyków znikły, sałata pozostała bez zaprawy. Zainterpelowana pokojówka upewnia, że wszystko było podane w zwykłym porządku, że jednak „panicze" kilka razy przechodzili przez jadalnię.

Wieczorem, w czasie bridge'a i dancingu, wpada z okropnym wrzaskiem paru żydów, skarżąc się, że do nich strzelano z krzaków rosnących około szosy. Portjer pensjonatowy widział w krzakach obu obiecujących młodzieńców. Prędka rewizja dokonana przez paru energiczniejszych gości kończy się wynalezieniem w ich kieszeniach procy i zapasu okrągłych kamyków.

Mama: „Niech państwo im wybaczą te figielki, przecież takie dzieci nie rozumieją, że mogą komuś zrobić przykrość swą zabawą". Papa: „Nie ma czemu się dziwić, co chłopiec to nie dziewczyna, zawsze jest pomysłowszy".

Oboje byli bardzo niemile zdziwieni, kiedy jedna z właścicielek pensjonatu zaprosiła ich do biurowego pokoju i postawiła stanowcze żądanie wynalezienia innego pensjonatu od zaraz od dnia następnego.

Elżbieta Kiewnarska

KURACJA ZIOŁOWA

Coraz częściej spotykamy się ze zdecydowanym zwrotem w kierunku leczenia ziołami, stosowanemi w mniej lub więcej skomplikowanej formie, najczęściej jednak, jako niewinne ciepłe lub zimne herbatki, odpowiednio zastosowane. Przy dzisiejszej dążności do prostoty łatwy do zrozumienia jest ten prąd, zbliżający nas do natury, spotęgowany instynktem samozachowawczym i obserwacją, wzbudzającą wiarę w dobroczynne działanie ziół.

Szczodrze posiane ręką Stwórcy, nietylko na uprawnych polach, ale więcej jeszcze na odłogach i ugorach, na suchych, piaszczystych ziemiach, w rowach, na miedzach i przydrożach — rosną małe, drobne roślinki, pijąc ranną rosę — mocno trzymając się ziemi, skarłowaciałe pewne siebie, wytrzymałe na niepogody i burze

Niepozorne na pierwszy rzut oka, są skarbnicami odporności przeciw chorobom, śpichlerze sił dla wzmożenia funkcji organizmu, sezamy odżywczych ekstraktów dla przedłużenia młodości.

Rośliny te pracowite są ogromnie: korzeniami skupiają zapasy o niezwykłej sile leczniczej: w pączkach zbierają życiany, składowe części siebie samych: w liściach, kwiatach, kielichach i szypułkach, owocach i nasionach oddają przetworzone słońce i najżywotniejsze soki ziemi na leki, zdatne do użytku przez organizm.

Do leczenia ziołami wraca dziś w dużym stopniu oficjalna medycyna.

Kuracje ziołowe, polegające na piciu napojów odpowiednio dobranych ziół, są wykorzystaniem doświadczeń szeregu pokoleń ludzkich.

W szczególności po zimie, kiedy byliśmy pozbawieni świeżych jarzyn w pożywieniu, mniej używaliśmy ruchu na powietrzu i słońcu, przeprowadzenie kuracji ziołowej, usunie złą przemianę materji, temsamem wszelkie przykre z tem związane objawy jak: bóle w stawach, swędząca wysypka i t. d.

W tej chwili organizm nasz jest pełen niepotrzebnego i szkodliwego balastu. Zalega on w stawach w postaci soli moczanowych, krąży we krwi, zatruwając cały organizm.

Wątroba — ten filtr naszej krwi— nie może podołać pracy, zaczyna się buntować, wskutek przeciążenia i objawia to w mniej lub więcej przykrej formie. Nerki, których zadaniem jest wydalanie (w postaci moczu) tych niepotrzebnych we krwi produktów, również nie mogą sprostać zadaniu. Niejednokrotnie skóra przychodzi im z pomocą, usuwając zatruwające organizm substancje w postaci króst i wyrzutów.

Z nieprawidłowem działaniem wątroby łączy się obstrukcja — stała dolegliwość ludzi pędzących mało ruchliwy (siedzący) tryb życia, co prowadzi do dalszego zatruwania organizmu produktami gnilnych procesów w kiszkach.

Kuracja ziołowa będzie polegała na pobudzeniu do bardziej intensywnego działania organów trawienia oraz wydalania.

W handlu aptecznym znajduje się wiele mieszanek ziołowych na przemianę materji. Wszystkie one, mogą być dobre, jeśli będziemy je pić regularnie według wskazówek, a dawkowanie (mocny lub słaby napar) dostosujemy do swego organizmu.

Pamiętajmy, że picie ziół nie powinno sprowadzać rozwolnienia, gdyż to osłabia. W takim wypadku, należy dawkę odpowiednio zmniejszyć, tak, aby otrzymać regularne wypróżnienia 2 razy dzienie: rano i wieczorem.

Podaję przepis na mieszankę dla przemiany materji:

I) Bielków — 50 części, liści orzecha włoskiego — 50 części, Rozłogów tuszycy piaskowej—15 części, dawłoci — 15 części, Korzenia Topianu — 25 części, Kwiatu czerni — 25 części, Korzeni mydlika — 20 części.

II) Rozłogów tuszycy piaskowej — 2 części, Rozłogów perzu — 6 części, Korzeni Topianu 1 część, Korzeni mydlika 1 część Słodu owsianego pogniecionego 2 części.

Najprostszą receptą na czyszczące krew i wzmacniające ziółka będzie:

Rozłogów perzu 2 części, Rozłogów Tuszycy — 2 części, Bielków — 2 części, Słodu — 4 części.

Ziółka te można słodzić i pić z mlekiem. Można wogóle, ograniczyć się do odwaru z perzu, który jest chętnie pity, jako słodki już z natury.

Do chorób najczęściej spotykanych, na skutek warunków nowoczesnego życia jest niedokrwistość — czyli anemja, a w następstwie blednica. Przyczyną anemji jest brak powietrza i słońca, nieodpowiednie odżywianie, nadmiar pracy umysłowej, zmartwienia i wzruszenia moralne, nadmiar zabaw, przebywanie w lokalach dusznych i zadymionych, niespanie po nocach i t. d.

Doskonałe wyniki daje odpowiednio zastosowana kuracja ziołowa, picie naparu z następującej mieszanki składające się z 3-ch części:

1 część jasnoty białej — 2 części melisy i 2-ch części liści jeżynowych.

Pić również można napar z szyszek chmielowych w ilości 2—3 szkl. dziennie lub napar z szałwi i melisy, wziętych w równych częściach.

Bardzo dobrym środkiem jest zażywanie codziennie rano i wieczorem po łyżeczce soku wyciśniętego ze świeżych liści krwawnika, zmieszanego z mlekiem lub miodem.

Pozatem trzeba zwrócić baczną uwagę na warunki higjeniczne i odżywianie. Dużo przebywać na świeżem powietrzu i odżywiać się pokarmami lekkostrawnemi, które zawierają witaminy i organiczne związki żelaza. W pierwszym rzędzie jarzyny, szpinak, sałata, pomidory, marchew (sok wyciśnięty z utartej świeżej marchwi) jabłka zmieszane z sokiem cytrynowym, mleko lub śmietankę słodką. Tuczącej kuracji nie należy stosować, gdyż nie chodzi o nabranie ciała, lecz o poprawienie składu krwi.

Ziółka pijemy rano zaraz po obudzeniu się, naczczo i wieczorem przed udaniem się na spoczynek. Kuracja ziołowa powinna trwać najmniej miesiąc.

Najmądrzejszy lekarz — natura — oddał nam do rozporządzenia mnóstwo środków, które, umiejętnie wykorzystane, przynoszą ulgę w cierpieniu, podtrzymują słaby organizm, dodają mu siły i odporności.

Wanda Pomian-Pomianowska

Punktualnie wpłacona prenumerata to podstawa rozwoju pisma!

Prosimy Panie Prenumeratorki o wpłacanie bieżących i regulowanie zaległych prenumerat

PELERYNKA

Pelerynka zrobiona szydełkiem, lub na drutach będzie ślicznem uzupełnieniem letnie sukni.

Zrobimy ją w jednym kolorze, w barwach stonowanych, zestawimy kolory: czerwony, niebieski i biały, bronz z bananem, czarny i ponsowy, dobierzemy zresztą barwy dowolniie, unikając jednak zbyt ostrych i jaskrawych zestawień, rażących oko.

Z nitki lnianej „Balladyna", marki Trójkąt w kole, albo z cieniutkiej, delikatnej wełny „Kolombina" marki Trójkąt w Kole, szydełkiem, czy na drutach to już pozostaje do uznania.



Robiąc pelerynkę szydełkiem stosujemy ścieg dowolny, poszerzając ją tylko przez zmianę szydełka. Pierwszy pas robimy szydełkiem średniem, używając do drugiego i trzeciego szydełka coraz grubszego.

Ten sam system jest wskazany przy robocie na drutach. Pierwszy pas drutami grubości 3mm., drugi drutami grubości 5 mm.., wreszcie trzeci drutami grubości 7 mm.

Dwa paski długości 25 cm.. a szerokości 3 cm., przyszywamy do brzegów pelerynki.

Związane na kokardę tworzą ładne wykończenie.

Tkaniny kolorowe

Od tego, jak będą konserwowane, zależy ich trwałość, ich świeżość, ich uroda!

Nasze barwne letnie sukienki, „sukienki groszowe", pomimo swej taniości mogą być szykowne i urocze, mają jednak swoje wymagania, dyktują nieustępliwe prawa umiejętnego obchodzenia się z niemi.

A więc przedewszystkiem trzeba pamiętać o tem, że tkanina, szczególnie tkanina tania, zbiega się po pierwszem praniu. Dekatyzujmy zatem materjały przed oddaniem ich do krawcowej, lub przed szyciem w domu.

Dekatyzowanie to silne zwilżenie materjału i wyprasowanie go gorącem żelazkiem przez biały gałganek. Zbiegnie się przytem pierwszem zetknięciu z wodą, a pranie nie będzie przedstawiało dla sukni żadnego niebezpieczeństwa.

Wykańczając barwną letnią sukienkę unikajmy dodatków kłopotliwych, wymagających oddzielnego prania, albo prania chemicznego. Plisowane kołnierzyki, żaboty, wymyślne drobniutkie marszczenia, to wszystko odpada tam, gdzie chodzi o model ładny, a jednak prosty i nie ambarasowny. Przestrzec należy również przed barwnemi dodatkami (wypustki, plisy, hafty), które puszczają w praniu niszcząc w ten sposób suknię bezpowrotnie.

Ulgi dla Pań prenumeratorek Tygodnika Kobiety

do korzystania z których uprawnia kwit opłaconej prenumeraty za miesiąc bieżący:

CZYTELNIA PRZY KSIĘGARNI SZYLLINGA — Warszawa, ul. Szpitalna 10:
a) zwalnia z opłaty zastawu za książkę,
b) daje 20% zniżki od normalnej ceny abonamentu.

„MADELEINE" — INSTYTUT RACJONALNEJ KOSMETYKI Dr-owej MAGDALENY POZNAŃSKIEJ, Warszawa, ul. Mokotowska 52 — tel. 8-08-37:
10% zniżki od ceny zabiegów i kosmetyków — porady bezpłatne.

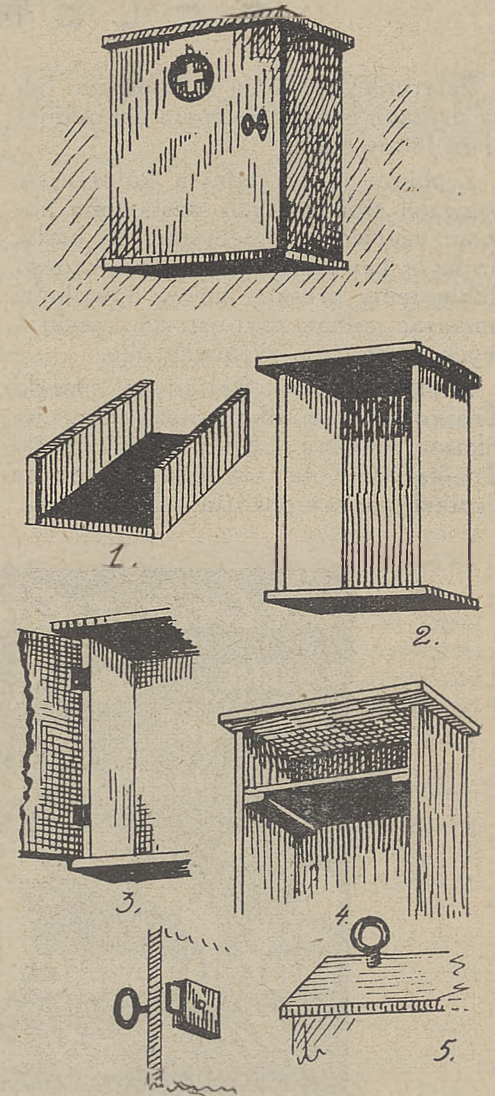
GABINET DENTYSTYCZNY MARJI DMOWSKIEJ — Warszawa, Mokotowska 45 m. 3:
specjalne zniżki dla Prenumeratorek Tygodnika Kobiety.

PRACOWNIA GORSETÓW, PASÓW I BIUSTONOSZÓW JANINY KIEDRZYŃSKIEJ — Warszawa, ul. Ks. Skorupki 14 — tel. 8-80-75. Zniżki od 5% do 10% od cen cennika dla Prenumeratorek Tygodnika Kobiety.

ZAKŁAD FRYZJERSKI „MARJA" — ul. Złota 5 m. 26, tel. 6-17-37. Od rewelacyjnie niskich cen cennika 10% zniżki dla Pań Prenumeratorek Tygodnika Kobiety.

SKŁAD NACZYŃ KUCHENNYCH — EDWARD CHROSTOWSKI — Warszawa, Marszałkowska 108 — 10% od cen cennika.

KONFEKCJA DZIECIĘCA — BIŁOWICKI EUGENJUSZ — Warszawa, Marszałkowska 91 — 10% od cen cennika.



Apteczka domowa do zawieszenia na ścianie

Apteczkę podaną na rysunku łatwo wykonać sposobem domowym, stosując się do zamieszczonych wzorów.

Wewnątrz umieszczamy kilka półeczek o niewielkich odstępach, pozostawiając pomiędzy górną półeczką a wierzchnią ścanką szafki nieco większą przestrzeń, przeznaczoną do umieszczenia butelek.

Szafka musi być zamykana na klucz i zawieszona na ścianie tak, aby osoby dorosłe mogły swobodnie gospodarować w jej wnętrzu. Pamiętajmy jednak o tem, że nie powinna być dostępna dla dzieci.

Polakierowana błyszczącym lakierem, albo kolorowo bejcowana i pociągnięta przezroczystą politurą, może swobodnie wisieć na ścianie pokoju mieszkalnego, sypialnego, lub dziecięcego, chociaż najodpowiedniejszem miejscem dla niej będzie zawsze łazienka lub, w większych domach, pokój garderobiany.

Klucz od apteczki musi mieć stałe miejsce, w którem znajdziemy go ławo w razie nagłej potrzeby. Miejsce to jednak powinno być niedostępne dla dzieci, które pod żadnym pozorem nie mogą mieć dozwolonego dostępu do wnętrza apteczki.

O środkach leczniczych i opatrunkowych, jakie powinny znajdować się w każdym domu, pomówimy w jednym z następnych zeszytów.

Nowy adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ul. Natolińska 9 m. 13.

Sezon przetworów owocowych

Sezon przetworów owocowych wymaga rozwagi i mądrej, planowej kalkulacji. Zarówno zbytnia wstrzemięźliwość, jak i nadmiar entuzjazmu są tutaj niewskazane; pierwsza naruszy nasz szczupły budżet — drugi pozbawi jadłospisy sezanów martwych niezbędnych pożywek i urozmaicenia.

U progu sezonów obfitujących w warzywa i owoce musimy przedewszystkiem zestawić specjalne tabelki, w których uwidocznimy zarówno jakość, jak i ilość przetworów na każdy miesiąc. A więc w czerwcu: agrest, czereśnie, rzewień (rabarbar), róża, truskawki.

Z agrestu i czereśni kompoty w weckach w pierwszym rzędzie. Z rzewienia doskonała kwaskowa marmelada. Z róży wonna konfitura. Z truskawek konfitury, sok, dżem i kompot w weckach.

Konfitury należą do zapasów śpiżarnianych, bez których obejść się trudno, jednak pierwszeństwo należy się zawsze kompotom sterylizowanym w aparatach Wecka, jako najsmaczniejszym, wysoce odżywczym i urozmaicającym jadłospjsy deserom.

Sezon przetworów wymaga skompletowania naczyń. Słoje, słoiki, butelki wyjęte z wnętrza szaf i śpiżarek muszą być przesegregowane, doprowadzone stopniowo (w miarę używania) do nienagannej czystości, którą osiągamy nietylko przez staranne mycie i płókanie, ale i przez sterylizowanie naczyń w odpowiednio ogrzanym piecyku od pieczenia. Sterylizowanie w piecu jest wskazane przedewszystkiem przy czyszczeniu butelek, których nie można o uszyć inaczej, jak pod wpływem wysokiej temperatury.

Wysoce wskazanym systemem jest stopniowe powiększanie ilości słoików do sterylizowania w aparacie systemu Wecka. Dokupując rok rocznie po kilka, lub kilkanaście sztuk (zależnie od rozpiętości budżetu), dojdziemy wkrótce do wystarczającej ilości słoi, mogąc w ten sposób zaopatrzyć śpiżarnię w odpowiednią ilość konserw owocowych i jarzynowych.

Smażenie konfitur wymaga dokładności i zasadniczych, podstawowych wiadomości.

Przedewszystkiem potrzebne jest specjalne naczynie, w którem nie gotuje się żadnych innych potraw. Najodpowiedniejsza będzie miedniczka mosiężna, zaopatrzona w drewnianą rączkę.

Konfitur nie należy nigdy smażyć z „byle jakiego owocu". Owoc przeznaczony na konfitury musi być w miarę dojrzały, wyborowy, świeży i nieuszkodzony. Tylko na dżemy i marmelady owocowe można używać owoców mniej wyborowych, ale jednak zawsze zdrowych, niepodlegających jeszcze rozkładowi.

Przeciętna norma cukru z jakiego przyrządzamy syrop na konfitury to: 2 klg. cukru na 1 klg. owocu. Cukier zalewa się wodą, dając jej tylko tyle ile cukier wchłonie (wypije). Przeciętna norma to 2 do 2 i 1/2 szklanek wody na 1 klg. cukru. Przyrządzając dżemy owocowe bierzemy na 1 klg. owocu 1 klg. cukru.

Zagotowany syrop szumujemy starannie i dopiero wtedy kładziemy do niego delikatnie owoce, uważając aby nie kaleczyć jagód. Nie należy nigdy smażyć zbyt dużych ilości owoców naraz. Ilość przystosowujemy ściśle do wielkości naczynia, kierując się tem, aby jagody leżały w syropie jedną warstwą, bo wypełniają się doskonale syropem tylko wtedy, jeżeli swobodnie w nim pływają.

Chcąc mieć prawdziwie piękne konfitury smażymy je z przerwami, to znaczy: po zagotowaniu syropu z owocem zestawiamy miedniczkę z ognia, po upływie 10 minut znów zagotowujemy i powtarzamy ten zabieg jeszcze dwukrotnie. Dalsze smażenie powinno się odbywać na wolnym ogniu tak długo dopóki jagody nie staną się przezroczyste. W czasie smażenia szumuje się konfitury łyżką, bardzo delikatnie, aby nie uszkodzić jagód. Dobrym sposobem jest też zbieranie szumowin z powierzchni szarą bibułą, taką, jakiej używamy do filtrowania. Mieszanie konfitur, jeżeli zaszłaby tego potrzeba, uskuteczniamy zapomocą potrząsania naczyniem, w którem smażymy. Mieszanie łyżką jest niewskazane!

Na piękny wygląd owoców (jagody pełne, nasiąknięte syropem) wpływa doskonale rozłożenie smażenia na dwa dni. W pierwszym dniu zagotowujemy trzykrotnie jagody w syropie (jak wyżej) w drugm doprowadzamy smażenie do końca. Pełne jagody otrzymuje się też przez umiejętne „wykończenie" smażenia, to znaczy, że ostatnie 10 minut trzymamy naczynie na bardzo wolnym ogniu, przykrywając je szczelnie. Dosmażane pod przykryciem nabierają pięknego wyglądu i odpowiedniego ciężaru gatunkowego.

Dodatkiem wpływającym na piękny wygląd i trwałość konfitur jest syrop kartoflany. Konfitury smażone z dodatkiem syropu kartoflanego nie spływają nigdy do góry, są silnie nasycone syropem, a pozatem nigdy się nie cukrują i nie fermentują. Syropu kartoflanego dodaje się w stosunku 1/4 klg. na 1 klg. cukru. Syrop dodaje się do zagotowanego syropu, jeszcze raz zagotowuje i starannie szumuje.

Zwracam uwagę na to, że dodatek syropu kartoflanego do soku owocowego wyklucza przyrządzanie z niego galaretek tak naturalnych, jak na podstawie żelatyny, która w zestawieniu z syropem kartoflanym zatraca całkowicie siłę ścinania płynu.

Jeżeli dodajemy do konfitur środki konserwujące (pastylki benzoesowe, tak bardzo dzisiaj modne proszki specjalne), należy się stosować ściśle do przepisów zamieszczonych na opakowaniu. Jedynie dokładność wykonania gwarantuje skuteczność stosowaengo środka.

Melba

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA

Chłodnik.
Kurczęta z sałatą.
Młode jarzynki z masłem surowem.
Lody.

PONIEDZIAŁEK

Kartoflanka z jarzynkami.
Risotto z cielęciną gotowaną — sałata.
Surówka z rabarbaru.

WTOREK

Zupa pomidorowa czysta z grzaneczkami.
Kaszka krakowska na sypko z koperkiem — sos biały koperkowy.
Ciastka kruche z agrestem.

ŚRODA

Kwaśne mleko — młode kartofle z koperkiem.
Kotleciki cielęce siekane — jarzynki — sałata.

CZWARTEK

Rosół z makaronem domowym.
Sztukamięsa—młode kartofle—mizerja, albo sałata.
Owoce w galaretce.

PIĄTEK

Zupa szparagowa z łazankami.
Makaron zapiekany z pomidorami.
Omlet ze szpinakiem.

SOBOTA

Barszcz czysty z uszkami.
Nóżki cielęce osmażane w klarze — sałata — młode kartofle.
Pianka cytrynowa.

PRZEPISY KULINARNE

PRZETWORY OWOCOWE.

Konfitury z truskawek. Konfitury można smażyć z truskawek czerwonych lub ananasowych. Zarówno jedne, jak i drugie są śliczne, bardzo smaczne i aromatyczne. Przed oberwaniem ogonków płókać truskawki w spirytusie 90% albo araku.

Proporcja cukru ma się, jak

dwa do jednego, to znaczy: na każdy kilogram owocu bierze się 2 kilogramy cukru, albo 1 i pół kilograma cukru i pół klg. syropu kartoflanego, czyli glukozy.

Cukier wsypuje się do miedniczki mosiężnej, zalewa wrzącą wodą, w stosunku 2 i 1/2 szlanek na 1 klg. cukru. Syrop kartoflany dolewa się, gdy cukier już jest rozpuszczony i, gotując chwilę na wolnym ogniu, starannie szumuje.

Po pierwszem zagotowaniu truskawek należy je odstawić, lekko przestudzić, znów zagotować, zestawić, przestudzić i jeszcze raz powtórzyć to samo. Dopiero po trzeciej przerwie przystępuje się do właściwego smażenia, które trwa od 20—25 minut. Smaży się truskawki na wolnym ogniu, szumując je tylcem dużej srebrnej łyżki, albo zbierając szumowiny kawałkiem szarej bibuły do filtrowania. W czasie smażenia nie mieszać, ale potrząsać miedniczką. Składać do słoików na drugi dzień, gdy doskonale wystygną. Na konfitury trzeba wybierać truskawki zupełnie dojrzałe z gatunku okrągłych, niewielkich, świeże, nieuszkodzone.

Dżem truskawkowy. Proporcja: na każdy kilogram owoców 1 kilogram cukru i tyle tylko wody, ile cukier wchłonie.

Zupełnie dojrzałe niewielkie truskawki opłókać w zimnej wodzie, rozsypać jedną warstwą, żeby dobrze obsiąkły. Połowę truskawek rozgnieść łyżką drewnianą (bardzo czystą i nieużywaną do innych potraw), drugą połowę jagód najdrobniejszych pozostawić w całości. Wsypać cukier do miedniczki, dać zaledwie tyle wody, ile cukier wchłonie, rozpuścić ten syrop na wolnym ogniu, uważając, aby się nie przypalił. W gotowy syrop włożyć owoc zmiażdżony i całe jagody. Smażyć na ostrym ogniu, mieszając od spodu, dopóki dżem nie nabierze przezroczystości. Wygrzać doskonale słoiki przeznaczone do złożenia dżemu, a gdy ten troszkę zaledwie przestygnie (tyle, żeby słoiki nie popękały), składać go, wyrównać powierzchnię. Ustawić słoiki na tacy, przykryć muślinem, aby dżem nie wchłaniał kurzu z powietrza. Gdy doskonale wystygnie, przykryć krążkam bibułki maczanej w araku i obwiązywać słoiki pergaminem, albo oblepić papierem szklanym.

Dżem z truskawem i rabarbaru. Użyć na dżem: 1 klg. dojrzałych zmacerowanych truskawek i 1/4 klg. rabarbaru oczyszczonego z włókien i pokrajanego w małe wąskie paseczki. Rabarbar dodać na 10 minut przed zdjęciem dżemu z ognia. Doskonałe to zestawienie daje smak lekko kwaskowy, orzeźwiający.

Wyborowy dżem z dojrzałego agrestu. Dojrzały agrest (uważać aby nie był sfermentowany) oczyścić z ogonków i szypułek, wypłókać kilkakrotnie, osączyć, ale nie suszyć. Wziąć na każdy kilogram agrestu 1 kilogram cukru kryształu. Sypać warstwami do miedniczki agrest i cukier, nie dodając zupełnie wody. Napełnioną miedniczką potrząsnąć kilkakrotnie, aby cukier wymieszał się doskonale z owocem. Podgrzewać na niezbyt ostrym ogniu, a gdy owoc zacznie puszczać sok, zwiększyć ogień i smażyć, mieszając, około 40 minut. Dżem powinien być przezroczysty.

Najsmaczniejszy i najaromatyczniejszy dżem jest z ciemnoczerwonego, gładkiego agrestu o wielkich jagodach.

Konfitury z malin. Proporcja: 1 kilogram malin, 2 kilogramy cukru kryształu, 2 i 1/2 szklanki wody.

Przebrać maliny wykałaczką drewnianą, przeznaczając na konfitury tylko najdorodniejsze, suche, nieuszkodzone jagody. Przebierając, ustawiać na półmisku tak, aby jagody nie dotykały jedna drugiej. Gdy przewiędną (świeżo zbierane trzymać po ustawieniu w chłodnej piwnicy 24 godziny) przygotować syrop p/g wyżej podanej proporcji. Wyszumować go, wsypać ostrożnie maliny, smażyć na ostrym ogniu 5 minut, potrząsając często rondlem, nie mieszając. Zdjąć z ognia, przyłożyć do powierzchni arkusz szarej bibuły od filtrowania, zdjąć w ten sposób szumowiny, a konfitury trzymać do przestygnięcia zdaleka od ognia. Postawić na wolnym ogniu, wyszumować, nakryć miedniczkę muślinem, pozostawić w chłodzie do następnego dnia. Zakończenie polega na ustawieniu miedniczki na wolnym ogniu, jednokrotnem zagotowaniu i momentalnem odstawieniu. Gdy konfitury wystygną, składać je małą, srebrną łyżeczką do słoików, wybierając poszczególne jagody bez soku, poczem pozostały sok wlewać do słoików łyżką, usuwając starannie wszystkie pestki. Przykrywać bibułką maczaną w araku, owiązywać, lub zaklejać papierem szklanym.

Maliny leśne. Maliny leśne oznaczają się wybitnie pięknym aromatem. Jagody ich są delikatne, drobne i łatwo się rozsypują, to też smażymy je nieco odmiennie, niż dorodne, duże i odporniejsze maliny ogrodowe.

Proporcja: 1 kilogram malin, 2 kilogramy cukru pudru osianego.

Wybierając zdrowe, nierobaczywe maliny, wykałaczką drewnianą ustawiać je jedna obok drugiej w mosiężnej miednicy, w której smażymy konfitury. Miednicę przedtem zważyć. Gdy pierwsza warstwa jest już ułożona, zważyć powtórnie miednicę z owocami, posypać maliny cukrem, biorąc go tyle (na wagę), ile było owocu. Ułożyć na cukrze drugą warstwę malin, znów zważyć i znów posypać delikatnie cukrem.

Wynieść miedniczkę z owocem na całą noc do chłodnej piwnicy, a rano postawić ją (nie poruszając zawartości) na wolnym ogniu. Smażyć 20 minut od zagotowania, potrząsając od czasu do czasu delikatnie miedniczką. Po zdjęciu z ognia wyszumować starannie bibułą.

Przestudzone maliny składać małą łyżeczką do słoików, sok przecedzić, bo będzie w nim dużo drobnych pestek. Dalej postępować jak z innemi konfiturami.

Sok malinowy. Najaromatyczniejszy jest sok z leśnych malin. Smażymy go stosując się do proporcji: 1 kilogram malin, 1 kilogram cukru, 1 i pół szklanki wody.

Przygotować syrop, wyszumować. Na wrzący wsypać przebrane maliny, zagotować kilka razy, wyszumować starannie, gotować jeszcze 5 minut. Zdjąć z ognia, przestudzić, przecedzić przez płócienny worek, używany tylko do cedzenia soków. Przykryć muślinem. Zimny zlewać do butelek. Zakorkować, zalakować. Pozostałe po smażeniu soku maliny przesmażyć, dodając jeszcze 1/4 klg. cukru na każdy kilogram użytego owocu. Smażyć 15 minut. Doskonałe powidełka do bułki, lub ciastek kruchych.

Melba

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska.* WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Natolińska 9. m. 13. tel. 5-07-03. Konto P. K. O. 13.191.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.

Drukarnia Krajowa w Warszawie. Chłodna 44. Tel. 5.88-70.



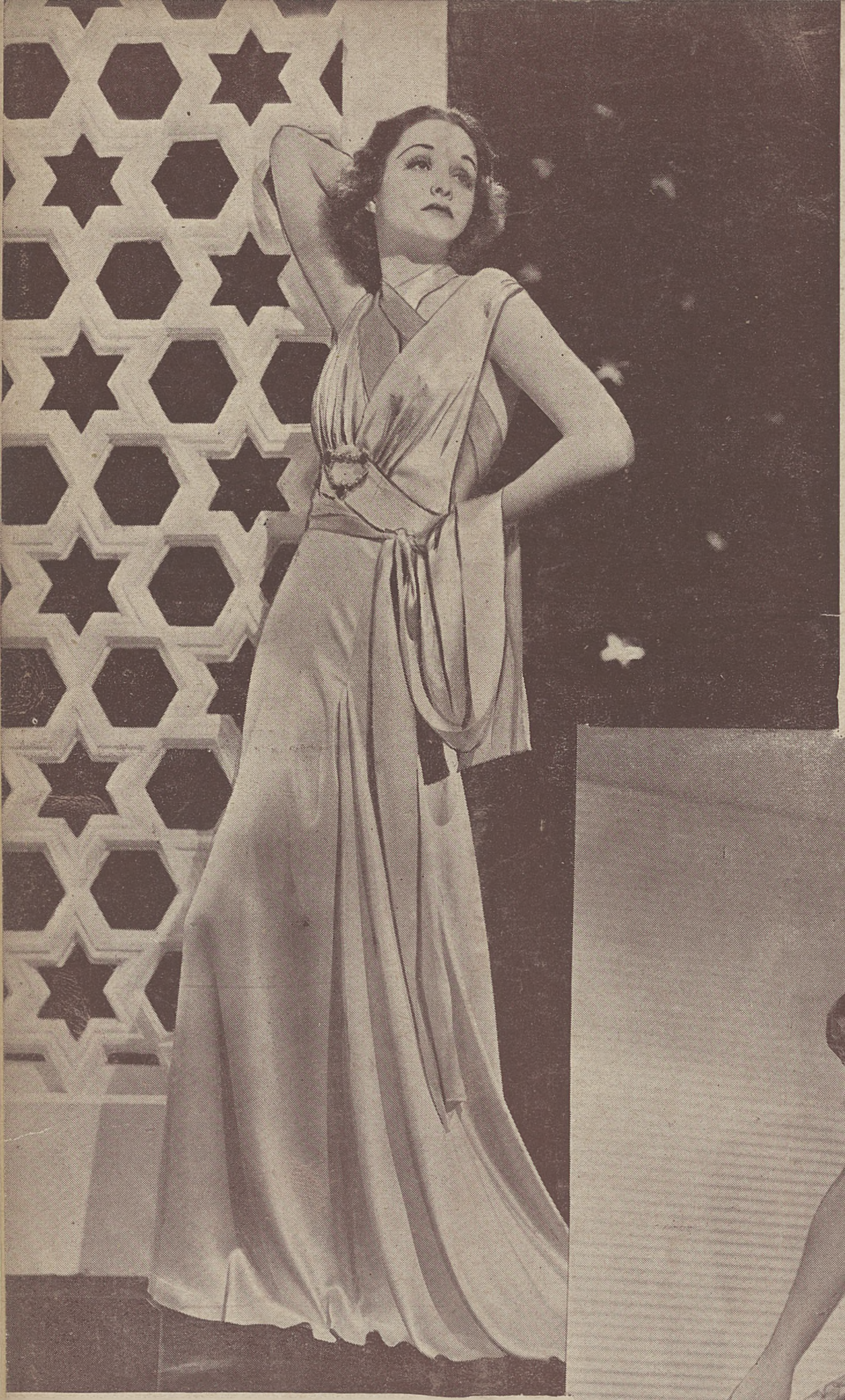


107. BLUZKA Z JEDWABIU BIAŁEGO W DROBNE KWIATKI, PRZYBRANA ŻABOTEM.

108. BLUZKA Z PŁÓTNA LNIANEGO STĘBNOWANA KOLOROWĄ NITKĄ.

109. SUKNIA Z GRANATOWEJ WEŁNY, PRZYBRANA BIAŁYM PASKIEM, BIAŁYM KOŁNIERZEM Z PIKI I BIAŁEMI GUZIKAMI.

110. SUKNIA WIZYTOWA BIAŁA W GRANATOWY DESEŃ. PELERYNKA I PASEK Z TEGO SAMEGO MATERJAŁU NA DRUGĄ STRONĘ.



SUKNIA LETNIA BALOWA Z BIAŁEGO SATIN, PRZEPASANA SZARFĄ W TYM SAMYM KOLORZE. NA PRZODZIE PASKA OZDOBNA KLAMRA Z DROBNYCH KWIATÓW.



GWIAZDA FILMOWA IDA LUPINO W PIĘKNEJ SUKNI Z PLISOWANEJ CZARNEJ ORGANDY-NY. DEKOLT PRZYBRANY BRYLANTOWEMI KLIPSAMI I GUZICZKAMI. P-TO PARAMOUNT.

Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44. tel. 5.68-70.